TOLKIEN

A biography

opracował: Michał Błażejewski

Biografia Tolkiena

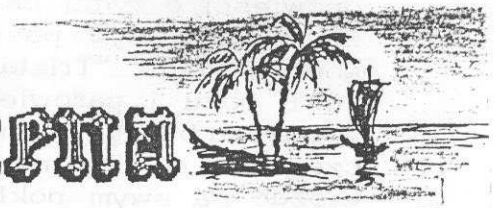

TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Illustrated with photographs. Houghton Mifflin Company Boston 1977, s. 287, 1 nlb., tabl. 16, indeksy, dodatki, bibliografia.

Carpenterowska biografia J.R.R. Tolkiena jest świetną ilustracją tez książki Jamesa L. Clifforda "Od kamyków do mozaiki" (czy dokładniej - "From puzzles to portraits", jak chce tytuł oryginału: wyd. pol. 1978). Literackie biografie, charakterystyczne zwłaszcza dla obszarów anglojęzycznych, budowane są według klasycznego wzorca: człowiek - życie - dzieło. Starają się nadto, łącząc skrupulatność badacza i warsztatową sprawność pisarza-popularyzatora, przybliżyć czytelnikom losy bohatera biografii, ukazać jego osobowość i - w sposób mniej lub bardziej zawoalowany- przekazać trochę dydaktycznych wskazań, zachęcających do refleksji nad życiem bohatera i nad życiem własnym czytelnika. Wiele z tych literackich biografii zbliża się do powieści biograficznej przekraczając niejednokrotnie granicę pomiędzy historyczną prawdą a literaturą, między beznamiętną relacją o faktach a pełną przypuszczeń wizją wewnętrzną przeżyć opisywanych postaci.

Aby w pełni docenić wysiłek (i ryzyko!) biograficznych dociekań Carpentera powinniśmy sobie tu uświadomić, iż sam Tolkien wielce niechętnie odnosił się do wszelkich analiz drogi życiowej artysty. Uważał - i to przekonanie przyjmował za jedną z najważniejszych zasad swego życia- iż poszukiwanie w biografii twórcy jakiegokolwiek klucza do jego twórczości jest bezcelowe. Dopuszczał napisanie biografii, ale tylko jako relacji o faktach, a i to też dopiero po śmierci danej osoby. W ostatnich latach swego życia porządkował materiały przeznaczone dla ewentualnych przyszłych biografów, opatrywał komentarzami listy i inne dokumenty, napisał również kilka stron o swoim dzieciństwie. Fakty te jednak nie świadczyły o tym, iż rezygnował tu w jakikolwiek sposób ze swoich przekonań. Książka Carpentera jest pierwszą i niejako "oficjalną" biografią Profesora. O takim jej charakterze zadecydowały z pewnością kontakty z rodziną, przyjaciółmi i wydawcami Tolkiena. Można więc odczuwać pewien niedosyt informacji - zwłaszcza tam, gdzie autor biografii stara się tolkienowski żywot uładzić i wypolerować. Niekiedy nawet nadmiar zastrzeżeń i gorliwych tłumaczeń prowokuje czytelnika do pytań o nieoficjalną wersję opowieści o przyjaźni Tolkiena z Lewisem, o dokładniejszą trochę informację o ostatnich latach wspólnego życia Tolkiena z żoną etc, etc. Wydaje się, że autor i tak wie więcej, niż chce - czy wolno mu - przekazać czytelnikowi. Skrupulatnie penetruje zachowane archiwalia, rozmawia z najbliższymi Tolkiena, stara się naświetlić wydarzenia z różnych stron, cytuje listy, przytacza wspomnienia, odwołuje się do osobistych dzienników i notatek Profesora. Wyraźnie widać, iż jest pod olbrzymim urokiem Tolkiena i jego książek - swą relację rozpoczyna od bardzo osobistego wyznania: opisuje spotkanie z Tolkienem wiosną 1967 roku, mówi o przeprowadzonej wtedy rozmowie, opisuje dom i jego wnętrze, klimat... Kończą zaś tekst dokładne, prawie aptekarskie informacje o pochodzeniu rodziny Tolkiena, chronologia jego życia, zestawienie publikacji Profesora (i to nie tylko tych o Śródziemiu - również naukowych), wykaz wykorzystanych źródeł informacji, szczegółowe indeksy. Całość uzupełnia kilkanaście zdjęć, najczęściej ze zbiorów samego Tolkiena.

Trzeba tu też chyba zauważyć, iż o pewnej "oficjalności" książki Carpentera zadecydowało i to, że samo życie Tolkiena poddane było pewnym konwenansom i pozbawione jakichś specjalnie emocjonujących wydarzeń. Przebiegało od pewnego momentu według reguł naukowej kariery profesora angielskich uniwersytetów, było spokojne, szczęśliwe i ustabilizowane. Podobne trochę do życia Józefa Haydna - może jeszcze nawet bardziej pozbawione wielkich spięć. Praca naukowa, praca literacka, życie rodzinne - w tym kręgu będą się poruszać czytelnicy tej opowieści. I chociaż obie wojny światowe wywarły na życie i twórczość Tolkiena duży wpływ, to jednak klimat carpenterowskiej biografii najlepiej oddaje zamieszczone w książce ostatnie zdjęcie Tolkiena - oparty o pień starej sosny stoi sobie starszy pan z laską. I pomyśleć, że to o nim napisał gdzieś Czesław Miłosz, iż jako jedyny w dwudziestym wieku stworzył bohatera na miarę postaci mitycznych...

Pierwszym linijkom carpenterowskiej opowieści o życiu J.R.R. Tolkiena zdają się towarzyszyć początkowe takty wagnerowskiego "Tristana". Jest marzec 1891 roku i parowiec "Roslin Castle" opuszcza brzegi "dumnego Albionu" (dlaczego nie mielibyśmy tego tak określić?) wioząc na swym pokładzie ładną, dwudziestojednoletnią Mabel Suffield, podążającą do Południowej Afryki, by tam poślubić Arthura Tolkiena, starszego od niej o trzynaście lat i zakochanego w niej w prawdziwie wiktoriańskim stylu...

Mabel i Arthur zaręczyli się przed trzema laty. Nie były to jednak takie "oficjalne" zaręczyny - dopiero po dwóch latach ojciec Mabel uznał, iż jest ona wystarczająco dorosła, by poważnie planować swoje przyszłe życie. Przez te dwa lata narzeczeni spotykali się jedynie podczas muzycznych wieczorków, a o stałości i wzajemności uczuć świadczyły również sekretne liściki, przesyłane przez Mabel przy pomocy młodszej siostry Jane. Siostry obojga odgrywają w tej historii rolę niebagatelną - Jane, siostra Mabel, pełniła tu rolę pocztyliona, siostry Arthura grywały natomiast podczas muzycznych spotkań na fortepianie. Fortepian też jest tu ważnym bohaterem - jest to bowiem fortepian wyprodukowany przez firmę rodzinną Tolkienów. Oczywiście, więcej tu splendoru niż realnych możliwości - ojciec Arthura zbankrutował, firma przeszła w obce ręce, a synowie musieli szukać możliwości zrobienia kariery gdzie indziej. Arthur próbuje w banku Lloyda, ale kariera w oddziale w Birmingham nie zapowiadała się obiecująco - w każdym razie dla kogoś, kto chciałby zapewnić znośne życie przyszłej rodzinie. Południowa Afryka kusiła natomiast perspektywami - kopalnie złota i diamentów napędzały klienteli rozwijającym się bankom. I tak Arthur w niecały rok po oficjalnym oświadczeniu się o rękę Mabel wyruszył do Cape. Przylądek Dobrej Nadziei... bardziej jednak Arthur liczył na swoją zaradność i współpracę z Bank of Africa.

Przedsiębiorczość Arthura została szybko wynagrodzona. Przez pierwszy rok pobytu w Afryce sporo podróżował po oddziałach banku między Capetown i Johannesburgiem. Sprawiał się świetnie i wkrótce został szefem ważnego oddziału w Bloemfontein, stolicy Orange Free State. Miał zapewnione mieszkanie, odpowiednie wynagrodzenie - ślub mógł się odbyć. I tak Mabel w kilka tygodni po swych dwudziestych pierwszych urodzi-

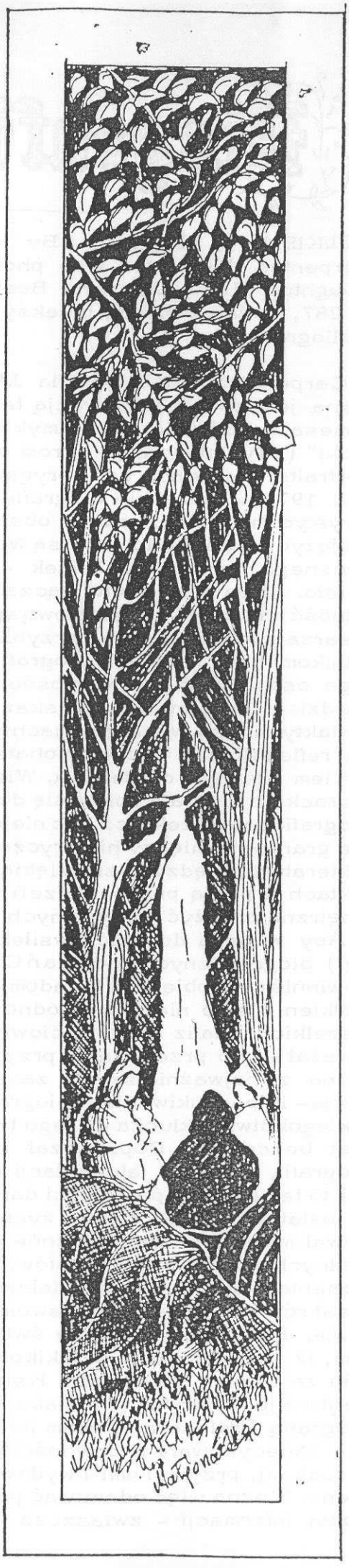

nach mogła wyruszyć do swego przyszłego męża. Otrzymała błogosławieństwo swego ojca i... Błogosławieństwo? Może raczej "przyzwolenie"? John Suffield był bowiem wyjątkowo dumnym człowiekiem, uczulonym zwłaszcza na punkcie pochodzenia. I on również był bankrutem (jak ojciec Tolkiena), zachował jednak głębokie przeświadczenie o swym dobrym pochodzeniu. Czym mogli tutaj imponować tacy Tolkienowie? Zwyczajni imigranci z Niemiec, mieszkający w Anglii zaledwie od kilku pokoleń. I jak tu mówić, że taki Tolkien mógłby być stosownym mężem dla panny Suffield?

Być może i wspomnienia takich ojcowskich zastrzeżeń towarzyszyły Mabel podczas trwającej trzy tygodnie podróży, rozwiały się jednak, gdy ujrzała w porcie w Capetown na molo przystojnego, ubranego na biało mężczyznę z wspaniałymi wąsami (zupełnie nie wyglądał na swoje trzydzieści cztery lata), wypatrującego w tłumie ukochanej Mab.

I tak Arthur Reuel Tolkien i Mabel Suffield wzięli 16 kwietnia 1891 roku ślub w katedrze w Capetown. Miesiąc miodowy spędzili w hotelu niedaleko Sea Point, a potem przejechali koleją blisko 700 mil do stolicy Orange Free State, do domu, który dla Mabel pozostał na zawsze pierwszym i jedynym miejscem wspólnego zamieszkania z Arthurem.

Bloemfontein nie było ani stare, ani duże. Prawdę mówiąc, nie było tu zbyt wiele do oglądania. Rynek, na którym holenderscy koloniści handlowali wełną, budynek parlamentu, dwuwieżowy kościół protestancki, anglikańska katedra, szpital, biblioteka... Był klub dla Europejczyków (w mieście przebywali głównie Niemcy, Holendrzy i Anglicy), korty tenisowe, budynek sądu i nawet dostateczna ilość sklepów. Posadzone jednak przez pierwszych osadników drzewa były jeszcze małe, miejski park składał się z dziesięciu wierzb i mizernego strumyka. Kilkaset metrów od miasta spokojnie grasowała najrozmaitsza dzika zwierzyna i mogło się zdarzyć, iż na podróżujących po zmroku napadały lwy. Z bezdrzewnych równin wiatr przynosił tumany kurzu. W liście do rodziny Mabel tak podsumowała pierwsze wrażenia: "wstrętne, ohydne pustkowie".

Ze względu na Arthura zmuszała się, by polubić to miasto i niekiedy udawało jej się nie odczuwać uciążliwości pobytu daleko od cywilizowanego świata. Bank of Africa mieścił się w dosyć reprezentacyjnym budynku, obok był duży ogród.

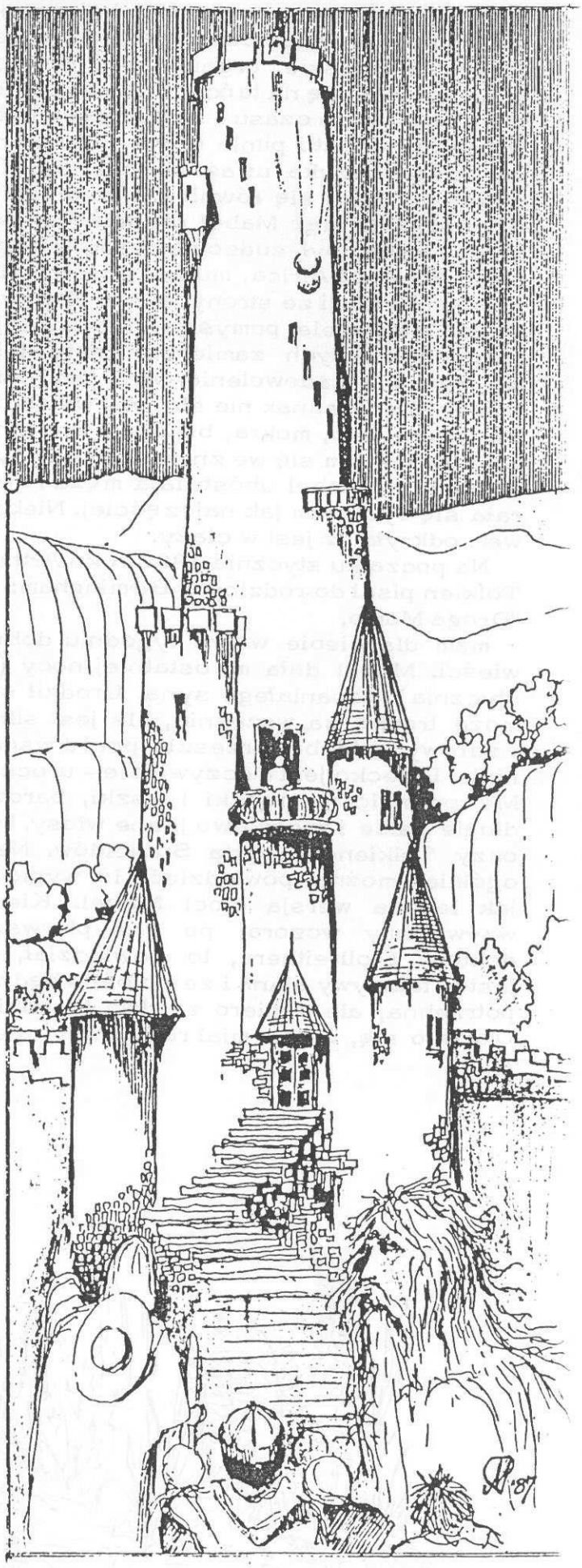

Było trochę służby, białej i kolorowej, można było prowadzić urozmaicone nawet życie towarzyskie, organizować przyjęcia, spotykać się na tańcach. Mabel miała dla siebie sporo czasu - Arthur był zajęty w banku, a nadto pilnie uczył się holenderskiego, języka uważanego tu za oficjalny, udzielał się również w klubie. Mimo wszystko mąż Mabel nie miał tu lekkiego życia, był cudzoziemcem, a jego bank, Bank of Africa, musiał podołać silnej konkurencji ze strony Banku Narodowego. Miał wiele pomysłów i realizacja różnych śmiałych zamierzeń sprawiała mu wyraźne zadowolenie. Ani jemu, ani Mabel klimat jednak nie służył - wyjątkowo upalne lato, mokra, brudna i wietrzna zima dawały im się we znaki. Mimo to byli szczęśliwi, Mabel ubóstwiała męża i starała się być z nim jak najczęściej. Niebawem odkryła, iż jest w ciąży.

Na początku stycznia 1892 roku Arthur Tolkien pisał do rodziny w Birmingham:
"Droga Mamo,

mam dla ciebie w tym tygodniu dobre wieści. Mabel dała mi ostatniej nocy (3 stycznia) wspaniałego syna. Urodził się może trochę za wcześnie, ale jest silny i zdrowy, a Mabel przeszła poród wspaniale. Dziecko jest - oczywiście - urocze. Ma prześliczne rączki i uszki, bardzo długie palce i wyjątkowo jasne włosy. Ma oczy Tolkienów i usta Suffieldów. Najogólniej można powiedzieć, iż wygląda jak lepsza wersja cioci Mabel. Kiedy wzywaliśmy wczoraj po raz pierwszy doktora Stollreithera, to powiedział, iż jest to fałszywy alarm i że położna będzie potrzebna, ale dopiero za dwa tygodnie. Okazało się, że nie miał racji i wzywałem go ponownie koło ósmej. Przesiedział u nad do 12.40, kiedy to wznieśliśmy whisky toast za zdrowie chłopca. Na pierwsze damy mu John - po jego dziadku - i ochrzcimy go jako Johna Ronalda Reuela. Mab chciała nazwać go Ronaldem a ja - Johnem i Reuelem..."

"Reuel" było drugim imieniem Arthura, ale w całej rodzinie nie było nigdy żadnego Ronalda. I to właśnie imię było najczęściej używane przez Arthura i Mabel, gdy zwracali się do swego syna, tak też mówiła później do niego żona. On sam jednak nie odbierał tego jako swego imienia. Niekiedy koledzy w szkole nazywali go Johnem Ronaldem - ale to brzmiało raczej napuszenie. W dzieciństwie koledzy zwracali się do niego także używając nazwiska (co było wtedy dość powszechne) lub wołali "Tollers", co też mieściło się w obyczajach epoki. W późniejszych latach, zwłaszcza dla osób mniej zaprzyjaźnionych, był on J.R.R.T. i być może to najlepiej odpowiadało jego pozycji.

John Ronald Reuel Tolkien otrzymał chrzest w katedrze w Bloemfontein 31 stycznia 1892 roku. Zachowało się zdjęcie, wykonane w kilka miesięcy później w ogrodzie Domu Bankowego. Najmłodszy z Tolkienów prezentuje się godnie w ramionach niańki. Obok jego matka i ojciec, mający w sobie nadal coś z dandysa w białym, tropikalnym ubraniu i słomkowym kapeluszu. Z tyłu - dwoje czarnych służących: pokojówka i służący Isaac (nazwał potem swego syna "Isaac Mister Tolkien Victor" - to ostatnie imię ku czci królowej Wiktorii). Mabel dokładnie opisała fotografię, podając swym fantazyjnym nieco pismem informację o miejscu i

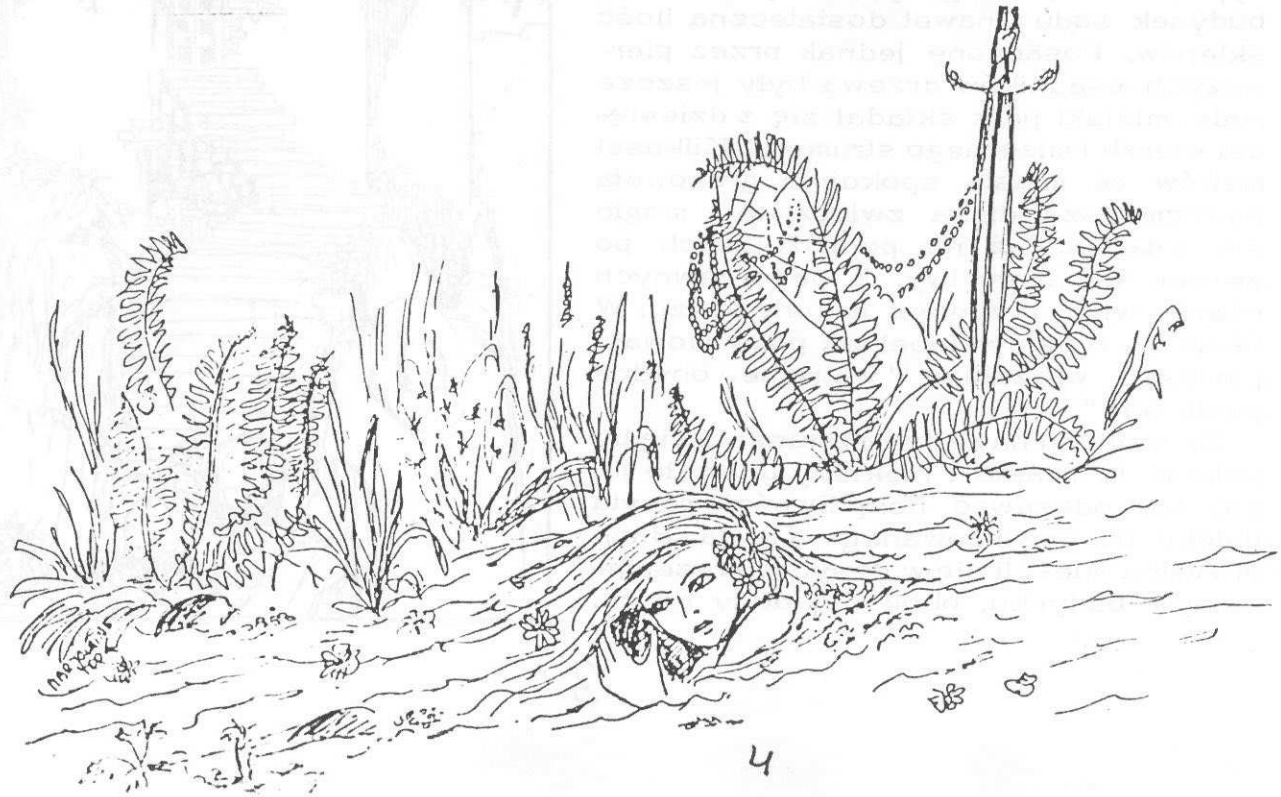

porze wykonania zdjęcia, które zatytułowała "Listopadowy poranek w Oranje-Vrij Staat". Zdjęcia takie wysyłano potem z życzeniami świątecznymi z okazji Bożego Narodzenia.

W życiu małego J.R.R.T. pojawiały się różne dramatyczne przygody - a to małpy od sąsiadów porwały mu jego fartuszki, a to węże zagnieździły się w szopie i trzeba było na nie uważać. Najgorsze jednak było spotkanie z tarantulą, która ukąsiła go podczas pierwszych prób samodzielnego chodzenia. I jakkolwiek pisarz twierdził później, iż nie miało to żadnego wpływu na jego stosunek do pająków, to trudno zaprzeczyć, że w swoich tekstach opisuje je jako mało sympatyczne stworzenia (żeby już nie powiedzieć, iż kreuje je na prawdziwe monstra).

Życie w Domu Bankowym przebiegało według ustalonego planu - wczesnym rankiem i późnym popołudniem mały Tolkien był zabierany do ogrodu i mógł asystować ojcu podczas jego ogrodniczych eksperymentów. Arthur zasadził w tym czasie niewielki zagajnik złożony z cyprysów, jodeł i cedrów. Być może to właśnie wpłynęło później na głęboką miłość Ronalda do najróżniejszych drzew.

Od wpół do dziesiątej do wpół do piątej chłopiec przebywał w domu - słońce na zewnątrz było bowiem zbyt silne. Gorąco odczuwało się i w domu. Małego Tolkiena ubierano stale na biało, co Mabel odnotowywała w listach do swej rodziny, donosząc, iż mały wygląda jak prawdziwy elf.

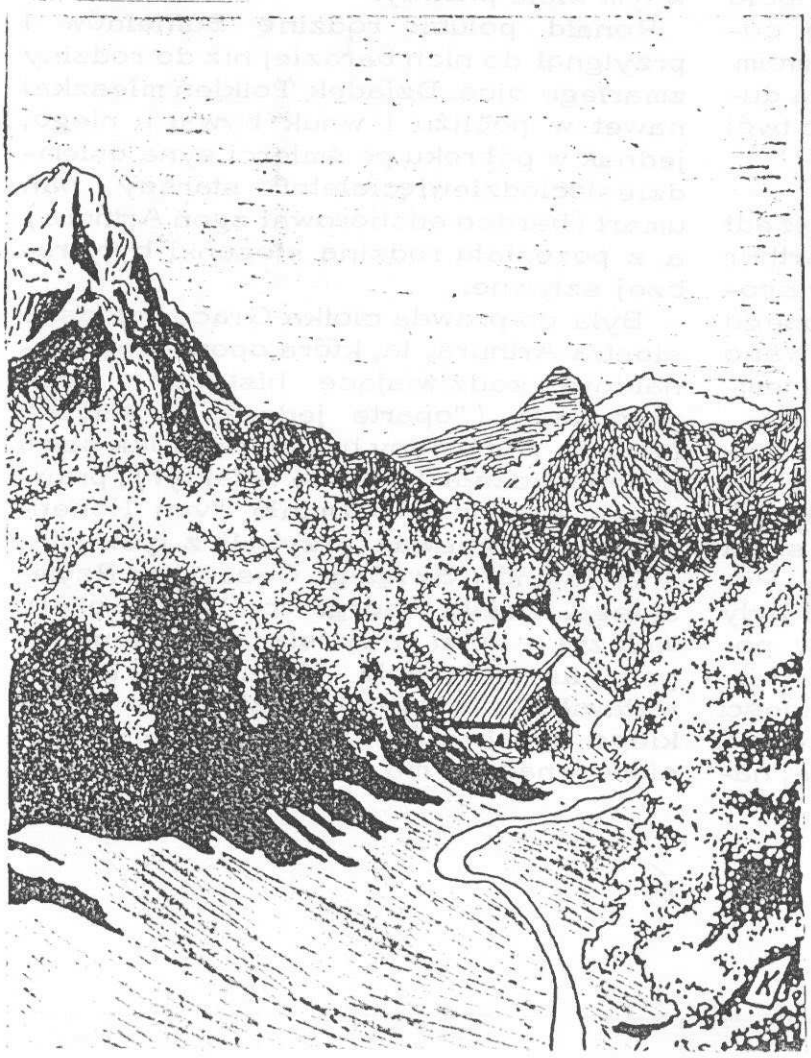

Tuż po pierwszych urodzinach Ronalda przyjechała siostra jego matki, May jej mąż Walter Incledon. Przybyli z Anglii. Waltera interesowały afrykańskie kopalnie złota i diamentów, zostawił więc swą żonę z małą córeczką Marjorie u Tolkienów, a sam pojechał w teren. Obie siostry spędzały chłodne lato same z dziećmi. Arthur również wyjechał w interesach. Sporo mówiło się wtedy o różnych niedogodnościach życia w Afryce i Mabel planowała ostrożnie powrót do Anglii, obawiała się jednak, iż Arthur będzie temu przeciwny. Po długich naradach siostry ustaliły, iż Mabel przyjedzie do domu na jakiś czas ot tak, dla poratowania zdrowia.

Ale i te plany trzeba było zmienić. Mabel odkryła, iż znowu spodziewa się dziecka. Chłopiec urodził się 17 lutego 189 roku i na chrzcie otrzymał imiona Hilary Arthur Reuel.

Hilary okazał się być zdrowym dzieckiem i klimat Bloemfontein służył mu najwyraźniej. Jego starszy brat znosił jednak afrykańskie warunki znacznie gorzej. Ronald był ładnym dzieckiem, jasnymi włosami i błękitnymi oczami wyglądał "jak młody Saksończyk" - tak mawiał jego ojciec. Był rozmowny, chętnie bawił się z urzędnikami banku i zawzięcie mazał ołówkiem na papierze. Ząbki jednak wychodziły z trudem i towarzyszyły temu stany gorączkowe. Codziennie wzywano lekarza, Mabel zamartwiała się, paskudna pogoda, susza, kłopoty z zaopatrzeniem, plaga szarańczy i inne niedogodności działały na nią przygnębiająco. W końcu i sam Arthur postanowił powrócić do Anglii.

I tak z początkiem kwietnia 1895 roku Mabel z synami wyruszyła statkiem w drogę do Anglii. Arthur miał do nich dołączyć nieco później. Co zapamiętał mały Tolkien z pobytu w Afryce? Może kilka słów w jakimś afrykańskim narzeczu, może jakiś widok zakurzonych i jałowych przestrzeni? Zapamiętał z pewnością ojca malującego napisy "A.R. Tolkien" na skrzyniach z rodzinnymi bagażami - i było to jedyne wyraźne wspomnienie, jakie zachował o ojcu. Hilary był zbyt mały, by zapamiętać cokolwiek.

W trzy tygodnie później siostra Mabel - dawna mała Jane, a dziś już dorosła kobieta - odebrała ich w Southampton. Wkrótce wszyscy znaleźli się w rodzinnym Birmingham, w małym domku w King's Heath. Rodzice Mabel byli wyjątkowo mili - ojciec sypał dowcipami, a matka była

RIVENDELL - Grzegorz Knefel

troskliwa i wyrozumiała. Dzieci [illegible] nich przez wiosnę i lato, a poprawa w zdrowiu Ronalda była przyjęta z zadowoleniem. Oczekiwano Arthura, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie, chociaż w listach pisał o swej tęsknocie za żoną i synami i obiecywał rychły przyjazd. Jesienią przyszły wieści o jego chorobie i było jasne, iż przyjazd do Anglii zimą będzie przy jego stanie zdrowia niewskazany. Przeszło niezbyt radosne Boże Narodzenie i tylko Ronald cieszył się z pierwszej w swym życiu prawdziwej choinki, zupełnie odmiennej od tradycyjnego eukaliptusa, który w świątecznej porze pojawiał się w Domu Bankowym.

Kiedy nastał styczeń i Arthur nadal był chory, Mabel postanowiła powrócić do Bloemfontain i zająć się mężem. Poczyniono przygotowania, a podekscytowany Ronald podyktował swej niańce list do ojca:

9 Ashfield Road, King's Heath, 14 lutego 1896r.

Drogi Tato,

cieszę się, że wracam, by ciebie zobaczyć to tak dawno, jak od ciebie odjechaliśmy i myślę że statek szybko przywiezie do ciebie Mamę Dzidziusia i mnie. Wiem że ucieszysz się listem twojego małego Ronalda, to tak dawno jak pisałem do ciebie, jestem już teraz całkiem dorosłym mężczyzną, bo dostałem dorosły płaszcz i dorosły stanik, Mama mówi, że nie poznasz Dzidziusia i mnie, bo tak wyrośliśmy, dostaliśmy dużo gwiazdkowych prezentów i pokażemy ci je ciocia Gracie odwiedziła nas ja chodzę codziennie i tylko trochę jeździłem moim pocztowym wózkiem. Hilary przesyła dużo czułości i całusów i ja tak samo twój kochający

Ronald

Listu tego nigdy nie wysłano. Przyszedł bowiem telegram z wiadomością, iż Arthur dostał poważnego krwotoku i należy spodziewać się najgorszego. Następnego dnia, 15 lutego 1985r., zmarł. Pochowano go na anglikańskim cmentarzu w Bloemfontain, pięć tysięcy mil od Birmingham.

Kiedy minął pierwszy szok, Mabel zrozumiała, że musi podjąć decyzję. Podmiejski dom rodziców był zbyt mały dla tak dużej rodziny, zresztą i ona sama chciała się uniezależnić od rodziny. Pozostałe po Arthurze oszczędności były ulokowane względnie korzystnie w południowoafrykańskich kopalniach, nie przynosiły jednak więcej jak trzydzieści szylingów tygodniowo. Musiała przecież wynająć jakieś dogodne mieszkanie, na- [illegible] chłopców. Przez jakiś czas mogła tutaj sama wystąpić w roli nauczycielki, znała łacinę, francuski, niemiecki, umiała malować, rysować i grać na fortepianie. Chciała, by później można było posłać synów do King Edward's School w Birmingham, była to bowiem najlepsza szkoła w mieście - poza tym uczył się w niej i Arthur... Trzeba było również pamiętać o zdrowiu Ronalda, najlepszym wyjściem byłoby znalezienie mieszkania w jakiejś zdrowej okolicy itd, itd, itd...

Ronald miał pięć lat i powoli przyzwyczajał się do życia w domu dziadków. Wspomnienia Afryki zacierały się zupełnie. W domu mieszkał wujek i ciotka Jane, był tu także sublokator, grywający na banjo i robiący słodkie oczy do Jane. Rodzina uważała go za prostaka i była nieźle poirytowana, gdy Jane zaręczyła się z nim. Ronaldowi natomiast jego banjo przypadło do gustu.

Dziadek Suffield pracował jako komiwojażer i cały dzień zbierał (a właściwie wyłudzał) zamówienia dla jakiejś firmy. Miał długą brodę i wyglądał na bardzo starego. Przy swoich sześćdziesięciu trzech latach zakładał, że dożyje do setki. Był wesoły i nie wstydził się swej pracy. Kiedyś miał w centrum sklep tekstylny i szczycił się tym, że jego przodkowie byli rytownikami i płatnerzami. Podobno sam król William IV uhonorował ich za jakąś dobrą robotę herbem, mówiło się też coś o tytule lordowskim... ale nie było w tym wiele prawdy.

Ronald polubił rodzinę Suffieldów i przylgnął do nich bardziej niż do rodziny zmarłego ojca. Dziadek Tolkien mieszkał nawet w pobliżu i wnuk bywał u niego, jednak w pół roku po śmierci syna osiemdziesięciodziewięcioletni starszy pan umarł (bardzo odchorował zgon Arthura) a z pozostałą rodziną stosunki były raczej sztywne.

Była co prawda ciotka Grace, młodsza siostra Arthura, ta, która opowiadała Ronaldowi zadziwiające historie o jego przodkach ("oparte jednak na samych faktach, mój biedny bratanku"). Jak sama przypuszczała (a gdzie te fakty?), prawdziwe nazwisko brzmiało "von Hohenzollern", ponieważ przybyli z tych właśnie rejonów Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Niejaki George von Hohenzollern walczył u boku arcyksięcia Ferdynanda podczas oblężenia Wiednia w 1529 i wsławił się zdobyciem sztandaru tureckiego sułtana. Za to też - jak twierdziła ciotka - nadano mu przydomek "Tollkuhn",

co znaczy "ryzykant, śmiałek". Rodzina była spokrewniona nadto z najznamienitszymi rodami francuskimi - tam też nosiła dźwięczne nazwisko "du Téméraire". Nie było jednak zgodności w rodzinie Tolkienów co do wersji na temat pojawienia się ich przodków w Anglii. Obdarzeni mniejszą wyobraźnią twierdzili, iż w 1756 uciekli oni przed pruską inwazją z Saksonii (gdzie mieli, oczywiście, rozległe dobra). Ciotka Grace była zwolenniczką wersji bardziej romansowej - otóż jeden z du Téméraire umknął przez kanał przed grożącą mu gilotyną i przybrał nazwisko nawiązujące do starszej formy - "Tolkien". Był on - oczywiście - dżentelmenem, nie przeszkadzało mu to jednakowoż w ujawnieniu talentów jako wytwórca klawesynów i zegarmistrz. Była to historia podobna do innych, ubarwiających rodowody wielu angielskich rodzin należących do warstw średnich. Tłumaczyła w jakiś sposób pojawienie się w Birmingham Johna Benjamina Tolkiena, ojca Arthura i dziadka Ronalda, i wyjaśniała jego początkową karierę jako wytwórcy fortepianów i właściciela sklepu muzycznego.

Ronalda bardziej jednak interesowała rodzina matki. Polubił to, co sobą reprezentowali. Odkrył, że kiedyś mieszkali oni w Evesham, w Worcestershire i że przez wiele pokoleń była to ich ziemia rodzinna. Ronald po wyjeździe z Afryki czuł się w jakimś sensie pozbawionym swej "małej ojczyzny" i uznał Evesham za ziemię ojczystą z wyboru. Napisał kiedyś: "Chociaż jestem Tolkienem z nazwiska, to z upodobań, uzdolnień i wychowania jestem Suffieldem", a o Worcestershire - "Każdy zakątek tej ziemi, piękny czy brzydki, jest dla mnie w niewytłumaczalny sposób "domem", jak żadne inne miejsce na świecie".

Latem 1896 Mabel Tolkien znalazła wreszcie coś odpowiedniego i niedrogiego dla siebie i dzieci i przenieśli się z Birmingham do Sarehole, małej wioski leżącej jakąś milę na południe od miasta. Ta przeprowadzka wywarła olbrzymie wrażenie na Ronaldzie. W wieku, kiedy wyobraźnia dziecka ujawnia swą największą aktywność, odkrył dla siebie krajobraz angielskiej wsi.

Zamieszkali przy Gracewell 5, w ceglanym, dwurodzinnym domku na końcu ulicy. Droga za furtką biegła w jedną stronę w kierunku Birmingham, w drugą - do Stratfordu nad Avonem. Ruch nie był jednak duży i zupełnie zapominało się o bliskości miasta. W pobliżu był młyn, stary ceglany budynek z wysokim kominem.

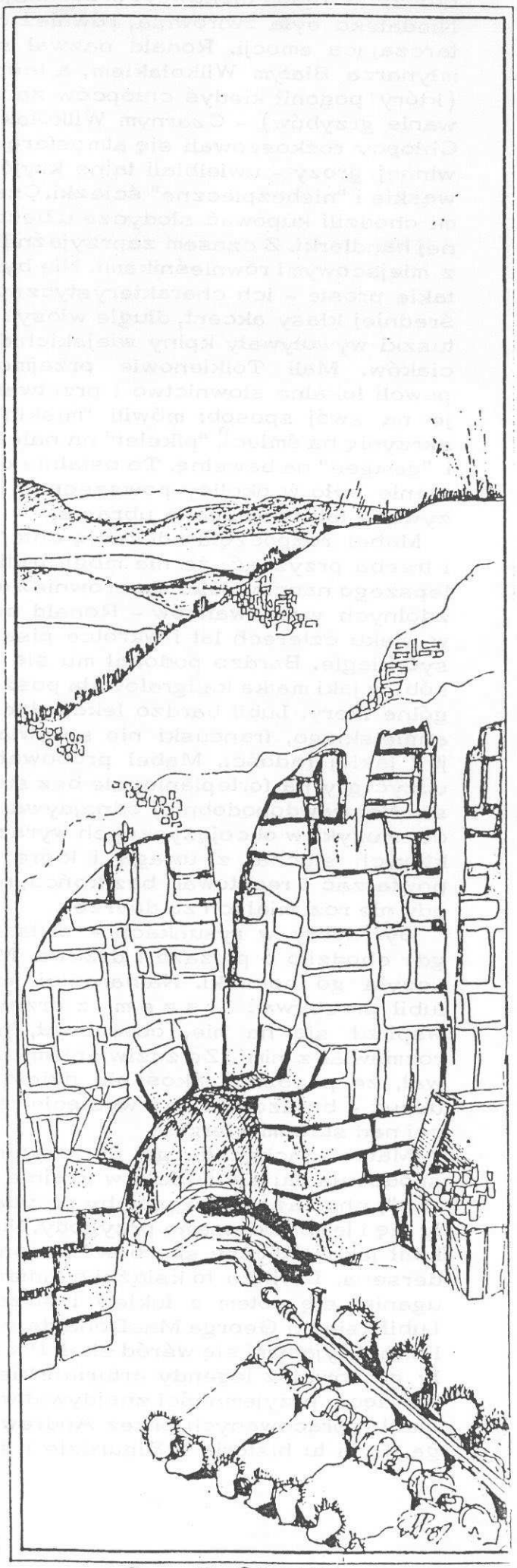

Rys M. PUDLIK

Mieszkał tam młynarz z synem, a całe otoczenie było i ciekawe, i przerażające. Niedaleko była żwirownia, również dostarczająca emocji. Ronald nazwał syna młynarza Białym Wilkołakiem, a farmera (który pogonił kiedyś chłopców za zrywanie grzybów) - Czarnym Wilkołakiem. Chłopcy rozkoszowali się atmosferą niewinnej grozy - uwielbiali tajne kryjówki, wąskie i "niebezpieczne" ścieżki. Czasami chodzili kupować słodycze u bezzębnej handlarki. Z czasem zaprzyjaźnili się z miejscowymi równieśnikami. Nie było to takie proste - ich charakterystyczny dla średniej klasy akcent, długie włosy i fartuszki wywoływały kpiny wiejskich dzieciaków. Mali Tolkienowie przejmowali powoli lokalne słownictwo i przetwarzali je na swój sposób: mówili "miskin" na skrzynię na śmieci, "pikelet" na naleśniki i "gamgee" na bawełnę. To ostatnie określenie było w okolicy powszechne i nazywano tak bawełniane ubrania.

Mabel rozpoczęła edukację chłopców i trzeba przyznać, że nie mogli trafić na lepszego nauczyciela. Ona również miała zdolnych wychowanków - Ronald czytał w wieku czterech lat i wkrótce pisał dosyć biegle. Bardzo podobał mu się sposób, w jaki matka kaligrafowała poszczególne litery. Lubił bardzo lekcje łaciny i angielskiego, francuski nie sprawiał mu już takiej radości. Mabel próbowała go uczyć gry na fortepianie, ale bez sukcesu. Najprawdopodobniej odnajdywał więcej muzyki w obcojęzycznych wyrazach, których słuchał z uwagą i które mógł powtarzać i recytować bez końca, nawet gdy nie rozumiał ich za dobrze.

Był dobry w rysunkach - zwłaszcza gdy chodziło o pejzaże i drzewa. Matka uczyła go botaniki. Najbardziej jednak lubił przebywać r a z e m z drzewami, wspinał się na nie, obejmował, nawet rozmawiał z nimi. Ze zdziwieniem odkrywał, że pozostali jakoś nie dzielą jego uczuć - bardzo przeżył wycięcie rosnącej nad stawem wierzby.

Matka zachęcała go do czytania - spodobała mu się "Alicja w krainie czarów", chociaż nie pragnął, by przydarzyły się i jemu takie same przygody. Nie polubił jakoś "Wyspy skarbów" i baśni Andersena. Lubił za to książki o Indianach, uganiał się potem z łukiem i strzałami. Lubił książki Georga MacDonalda, z goblinami kryjącymi się wśród skał. Pociągały go również legendy arturiańskie. Ale najwięcej przyjemności znajdywał w baśniach opracowanych przez Andrew Langa. Była tu historia o Sigurdzie i smoku

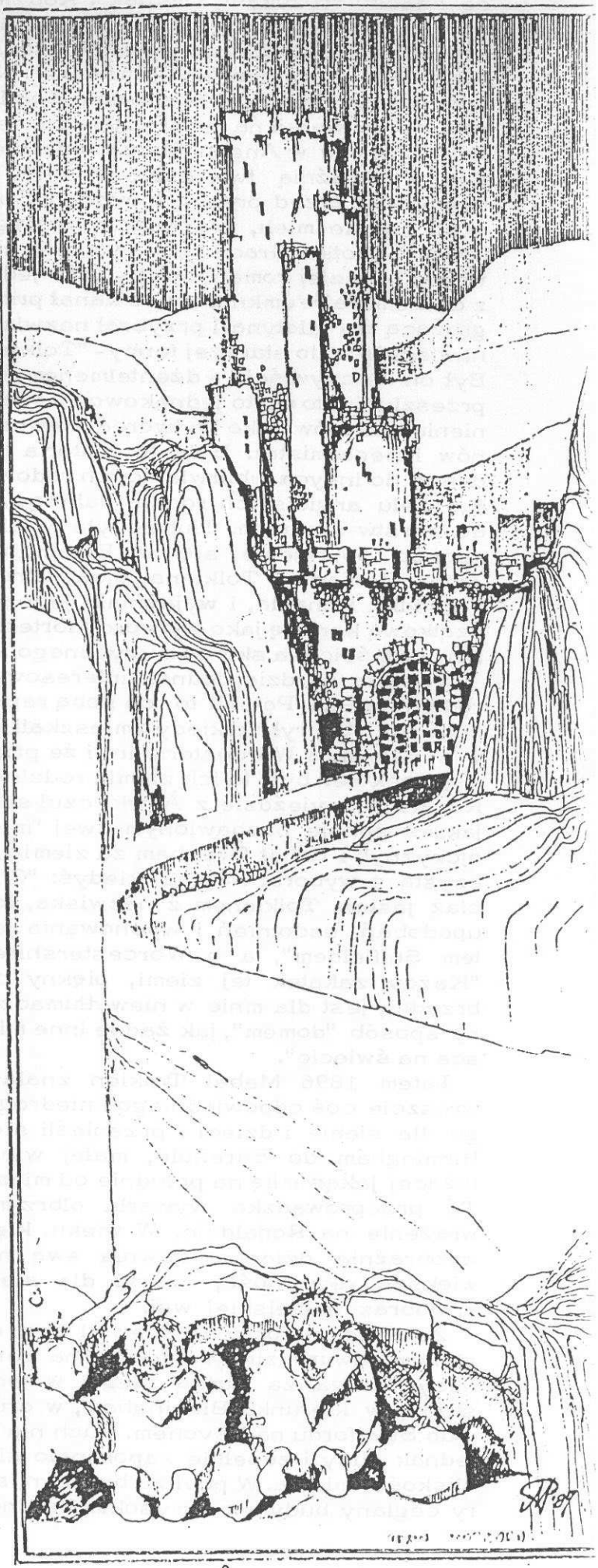

Rys M. PUDLIK

Fafnirze, dziwna i pociągająca opowieść o nieznanej północy. Odczuwał do smoków swego rodzaju sympatię - nie znaczyło to jednak, iż chciałby je mieć w swoim sąsiedztwie. W wieku siedmiu lat zaczął pisać pierwszą powieść o smoku i zachował w pamięci pewne językowe ciekawostki, jakie wtedy musiał rozwiązać.

Mijały dni. Mabel wychowywała chłopców, korzystając niekiedy z pomocy rodzin Tolkienów i Suffieldów. Hilary rósł i rósł, i robił się coraz bardziej podobny do ojca. Ronald bardziej przypominał Suffieldów. Z tego okresu zapamiętał powtarzający się sen (nazwie to później "Mój kompleks Atlantydy"): olbrzymia fala wznosiła się ponad najwyższe drzewa i zalewała wszystko wokół. Czuł wtedy, iż otaczający go przyjazny świat ginie. I dosyć szybko mógł się przekonać, że ten groźny sen będzie się sprawdzał.

Po śmierci męża dużą rolę w życiu Mabel odgrywała religia. Co niedzielę zabierała chłopców do anglikańskiego kościoła. Pewnej niedzieli jednak chłopcy pomaszerowali z matką nową drogą. Poszli do kościoła św. Anny - i był to kościół rzymsko-katolicki.

Mabel od dawna myślała już o przejściu na katolicyzm. Również i jej siostra, May Incledon, zastanawiała się nad tym. Wiosną 1900 roku otrzymały pierwsze nauki, a w czerwcu zostały przyjęte do "papieskiego" kościoła.

Dla rodziny Suffieldów był to prawdziwy cios. Stary Suffield był metodystą i zmiana wyznania przez córki była dla niego nie do przyjęcia. May została w dodatku katoliczką bez wiedzy męża. Kiedy Walter Incledon powrócił z Afryki, zabronił żonie chodzić do katolickiej świątyni. Sam był jednym z gorliwszych wyznawców miejscowego kościoła anglikańskiego i nie mogło być mowy o jakichkolwiek żoninych fanaberiach. May musiała ulec - z czasem zaczęła szukać pocieszenia (lub odwetu?) w spirytualiźmie. Mabel też odczuła rezultaty gniewu rodziny - skończyła się finansowa pomoc Waltera i innych Suffieldów, a na Tolkienów - zagorzałych i wojujących z "papistami" baptystów również nie było co liczyć.

Nowa sytuacja nie wpłynęła więc korzystnie ani na sytuację finansową Mabel, ani na jej stan zdrowia. Nic jednak nie było w stanie zachwiać jej zaufania do nowej wiary i Mabel na przekór wszystkim przeciwnościom zaczęła wychowywać synów w duchu katolickim.

W tym czasie Ronald powinien zacząć naukę w szkole. Jesienią 1899 nie został przyjęty i dopiero po roku, po powtórnych egzaminach, został uczniem King Edward's School. Opłatą za naukę zajął się jeden z życzliwiej usposobionych wujów Tolkienów. Do szkoły było jednak bardzo daleko i pobyt na wsi trzeba było zakończyć. I tak po czterech latach, uważanych przez pisarza za bardzo znaczące w jego życiu, przenieśli się do Moseley, bliżej szkoły i centrum.

Szkoła cieszyła się w mieście dużym szacunkiem. Ufundował ją Edward VI, a jej reprezentacyjny gmach położony był niedaleko dworca. Był to zatłoczony i pełen zgiełku budynek, coś, co na wychowanego w zacisznych wiejskich warunkach chłopca podziałało wybitnie przygnębiająco. Większość dni w początkowym okresie Ronald przechorował w domu. W końcu jakoś zaakceptował szkołę i włączył się w jej życie.

Wynajęty przez matkę w Moseley dom w niczym nie przypominał spokojnego mieszkania w Sarehole. Zachował się w pamięci Ronalda jako coś okropnego - zgiełk na ulicy, tramwaje, przechodnie, dymiące kominy fabryk. Zanim się z nim zdążyli oswoić - trzeba się było wyprowadzać. Dom był przeznaczony do wyburzenia w związku z budową pomieszczeń dla straży ogniowej. Mabel znalazła nowe mieszkanie - była to willa blisko domu jej rodziców, a także - co mogło być dla niej w nowych warunkach ważniejsze - blisko katolickiego kościoła św. Dunstana. Ronald polubił dom i okolicę. Życie tutaj wyznaczały gwizdy przejeżdżających pociągów, a na łąkach przy torach można było odnaleźć kwiaty i inne rośliny. I coś jeszcze tutaj go zainteresowało - dziwne napisy na węglarkach stojących na kolejowych bocznicach: "Nantyglo", "Senghenydd", "Blaen-Rhondda", "Penrhiwceiber", "Tredegar"... Zupełnie nie wiedział, jak je wymawiać, działały jednak na niego z dziwną siłą. Tak oto zetknął się z językiem walijskim.

Matka jednak nie lubiła ani domu, ani nowego kościoła. Wyruszyła w którąś niedzielę z chłopcami na dłuższe poszukiwania i znalazła to, co mogło spełnić jej oczekiwania. Birmingham Oratory, duży kościół ze szkołą pod wezwaniem św. Filipa, gdzie opłata za naukę była niższa niż u Króla Edwarda i - co było decydujące - dom do wynajęcia tuż obok szkoły. Na początku 1902 roku przenieśli się do Edgbaston - tak nazywała się nowo odkryta dzielnica - i obaj chłopcy rozpoczęli naukę u świętego Filipa. Ronald

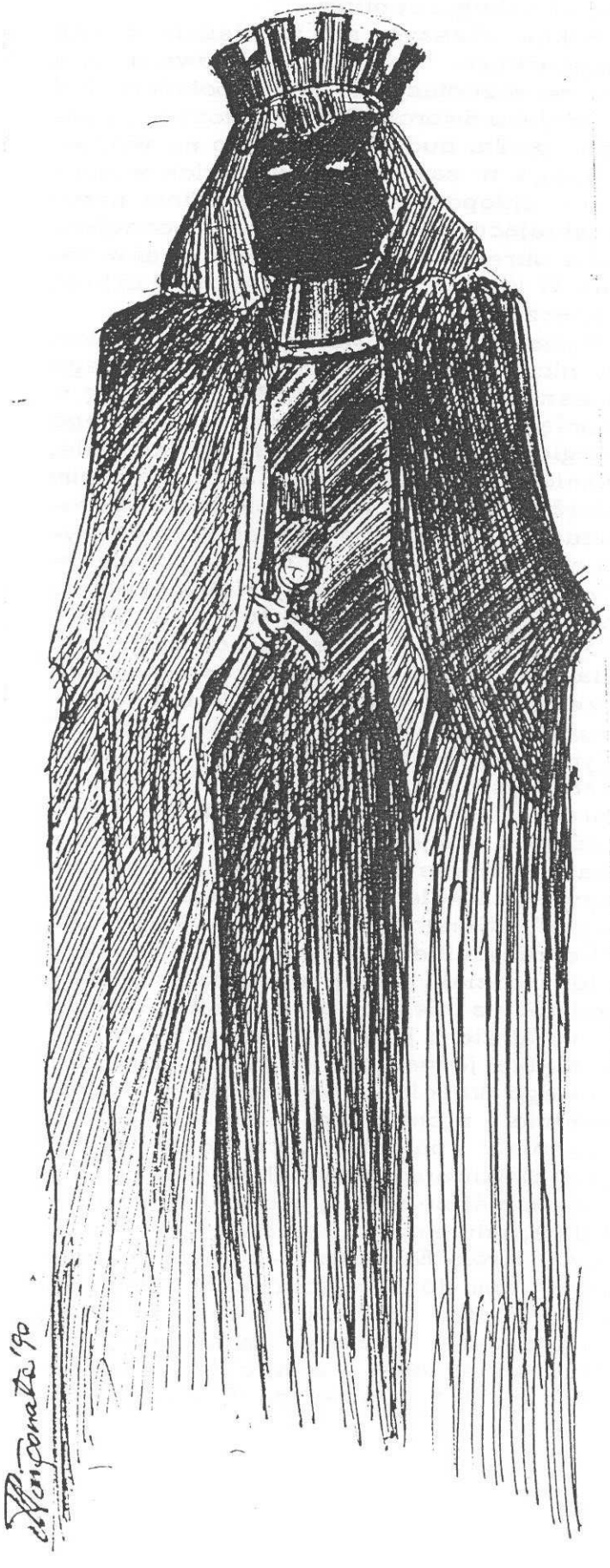

miał wtedy 10, a Hilary 8 lat.

Oratorium Birminghamskie miało ciekawą historię. Ustanowił je John Henry Newman w 1849 roku. Ten filozof i wzięty kaznodzieja uniwersytecki w Oxfordzie szybko odkrył, iż jego ideały realizuje najlepiej kościół rzymsko-katolicki. Co ciekawsze, doszedł do tego przekonania w momencie, kiedy jego pozycja w kościele anglikańskim była szczególnie silna, czemu towarzyszyły wyrazy uznania, wpływy i zaszczyty. Jego przejście na katolicyzm było faktem stanowiącym - jak powiedział Gladstone - epokę w historii Anglii. W kościele, do którego wszedł, zajmował miejsce bardzo podrzędne - był zwykłym księdzem, oratorianinem. Żył w odosobnieniu na prowincji - właśnie w Birmingham spędził ostatnich czterdzieści lat swego życia. Pisał bardzo wiele. W 1889 - a więc na rok przed śmiercią - jednym ze swych pierwszych zarządzeń nowy papież, Leon XIII, powołał do godności kardynała - jego, zwykłego księdza. W Oratorium przy Hagley Road w roku 1902 nadal żywa była pamięć wielkiego filozofa i duchownego. Mieszkali tu jeszcze licznie jego bezpośredni współpracownicy i uczniowie. Jednym z nich był Ojciec Francis Xavier Morgan, mający wtedy czterdzieści trzy lata. Mabel odkryła w nim nie tylko życzliwego duchownego, ale i prawdziwego przyjaciela. Pół Walijczyk i pół Anglo-Hiszpan (ze strony rodziny matki) nie był może zbyt wielkim intelektualistą, miał jednak swoiste poczucie humoru i był ujmująco życzliwy, może nawet w pewien przesadny, ale charakterystyczny dla mających jakieś pokrewieństwa z południowcami, sposób. Trochę hałaśliwy i wylewny, ale bardzo sympatyczny - zwłaszcza przy bliższym poznaniu. Szybko też stał się przyjacielem Mabel i chłopców.

Bez jego przyjaźni życie Tolkienów byłoby bardzo trudne. Dom, w którym zamieszkali, stał niewiele wyżej od slumsów. Dzielnica była podrzędna, znajdująca się obok szkoła nie mogła konkurować z gotyckimi splendorami Króla Edwarda, a i jej poziom nauczania był dużo niższy. Mabel i Ronald przyłożyli się więc solidnie do nauki w domu i chłopak wrócił do "lepszej szkoły", gdzie mógł uczyć się nadal dzięki uzyskanemu stypendium. Hilaremu natomiast nie udało się - matka zabrała go od św. Filipa, ale szkoła "edwardiańska" jakoś nie doceniła jego możliwości - uczył się więc w domu pod opieką matki.

Po powrocie do Króla Edwarda Ronald

znalazł się w klasie szóstej, mniej więcej w połowie szkolnej edukacji. Uczył się tu greki - a nie zetknął się z nią przedtem w domu. Niezbyt przypadł mu do smaku Szekspir - polubił natomiast Chaucera, a pod wpływem nauczyciela, Georga Brewertona, jego zainteresowania historią języka zaczęły rozwijać się w ciekawy sposób.

Matka była zadowolona z postępów syna i były to dla niej rzadkie radości w ciągu tych dwóch lat. W kwietniu 1904 roku znalazła się w szpitalu, gdzie rozpoznano u niej cukrzycę. Dom został zamknięty, meble oddano do magazynu, a chłopców zabrała do siebie rodzina. Hilary znalazł się u dziadków Suffieldów, a Ronald - u pamiętnego właściciela banjo, u Edwina Neave, niezbyt "godnego" męża ciotki Jane. Leczenie cukrzycy było wtedy nieco inne niż teraz i było sporo kłopotów ze zdrowiem Mabel. Latem opuściła jednak szpital i należało pomyśleć o zapewnieniu jej odpowiedniej i dobrej opieki. Ojciec Morgan zaproponował przeniesienie się do Rednal, gdzie kardynał Newman wybudował dom wypoczynkowy dla kleru z Oratorium. Mabel z synami miała zamieszkać u miejscowego listonosza, a jego żona miała się zająć gotowaniem dla nich.

Było to tak, jakby powrócili do Sarehole. Były tu lasy i wzgórza, cmentarz i kaplica, gdzie pochowano kardynała i innych duchownych. Chłopcy mieli miejsce i czas na zabawy. Łażono po drzewach, puszczano latawce. Częstym gościem był tu Ojciec Francis. Miał w Rednal psa, nazywanego Lord Roberts. Przesiadywano często na werandzie,a duchowny palił olbrzymią fajkę. Późniejszy pisarz obserwował to z zainteresowaniem i chyba wtedy pojawiło się u niego upodobanie do fajek. Wakacje mijały w nastroju prawdziwie idyllicznym.

Z początkiem roku szkolnego Ronald rozpoczął naukę. Dojeżdżał do szkoły wczesnym rankiem, a powracał późnym wieczorem. Ze względu na zdrowie matki postanowiono pozostać w Rednal jak najdłużej. Zadymione i brudne Birmingham mogło jej zaszkodzić.

Na początku listopada przyszło jednak pogorszenie, przyjęte przez synów z prawdziwym przerażeniem. Mabel zapadła na śpiączkę cukrzycową i w sześć dni później, 14 listopada, umarła. Byli przy niej Ojciec Francis i jej siostra, May.

cdn

oprac. Michał Błażejewski

Przeczytaliśmy dla was:

TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Company Boston 1977.

Dorastanie.

II. Edith.

Śmierć Mabel uświadomiła Tolkienowi, iż nic na tym świecie nie jest bezpieczne, nic nie trwa wiecznie i w żadnej walce nie ma ostatecznego zwycięstwa. Długo jeszcze powtarzał sobie, iż dobry Bóg obdarował i jego i jego brata prawdziwą matką-męczenniczką, która zabijała się ciężką pracą i staraniami, by obu synów utrzymać w prawdziwej wierze. W sercu Tolkiena religia zajęła teraz miejsce matki. Najprawdopodobniej śmierć Mabel umocniła również Ronalda w jego językoznawczych zainteresowaniach - to przecież matka była jego pierwszym nauczycielem i to ona zachęciła go do badań nad słowem.

Śmierć Mabel ujawniła również, iż Ronald posiada dwie natury. Zawsze uwielbiał aktywne życie, pogawędki z przyjaciółmi, ruch na świeżym powietrzu. Miał duże poczucie humoru i dar zjednywania sobie przyjaciół. Teraz ujawniła się druga strona jego osobowości - ukrywana w listach i pamiętnikach, skłaniająca do oddawania się pesymistycznym rozmyślaniom. Wielka fala rosła, rosła...

Mabel pochowano na katolickim cmentarzu w Bromsgrove. Ojciec Francis umieścił na jej grobie kamienny krzyż - taki sam, jakie stawiano na grobach duchownych z Oratorium. Mabel wyznaczyła Ojca Francisa na opiekuna obu chłopców - i był to mądry wybór. Nie zostawiła dużego majątku - wszystkiego osiemset funtów zainwestowanego kapitału. Ojciec Francis dysponował natomiast pewną częścią swego rodzinnego majątku według własnej woli i nie musiał przekazywać tych pieniędzy Oratorium. Pojawił się jednak problem mieszkania chłopców i ich wychowania. Suffieldowie i Tolkienowie mogli przecież domagać się powrotu sierot do wiary protestanckiej, mówiło się nawet o obaleniu testamentu Mabel. Na szczęście pojawiła się daleka ciotka o niezbyt rygorystycznych poglądach religijnych, dysponująca nadto odpowiednim pokojem dla chłopców. Nazywała się Beatrice Suffield i mieszkała w mrocznym domu przy Stirling Road.

Hilary zaaklimatyzował się dosyć szybko, Ronald natomiast cierpiał bardzo - dom był zaprzeczeniem wszystkiego, co zdążył już polubić.

Za oknem dachy i kominy, a widoczny w dali fragment zieleni aż za bardzo przypominał o minionej przeszłości.

Ciotka Beatrice dawała chłopcom mieszkanie z utrzymaniem i nic więcej. Była wdową od niedawna, nie miała dzieci i nie powodziło się jej za dobrze. Najgorsze jednak było to, iż zupełnie nie potrafiła zrozumieć chłopców. Pewnego dnia Ronald odkrył w kuchni na palenisku spopielone resztki listów matki i jej odręcznych notatek. Ciotka rzuciła je do pieca nie zastanawiając się nawet, iż dla chłopców mogły mieć one jakąś wartość.

Całe szczęście, iż Oratorium było blisko i to ono wkrótce stało się dla chłopców prawdziwym domem. Wczesnym rankiem biegli tam i przy jednym z bocznych ołtarzy służyli Ojcu Francisowi do mszy. Potem jedli śniadanie w refektarzu, bawili się trochę z kuchennym kotem i śpieszyli do szkoły. Hilary przebrnął w końcu przez egzaminy i bracia mogli teraz razem chodzić do Szkoły Króla Edwarda.

Ronald miał w szkole wielu przyjaciół - najbliższym, wręcz nieodłącznym stał się Christopher Wiseman, syn mieszkającego w Edgbaston duchownego-metodysty. Chłopcy spotkali się w piątej klasie jesienią 1905 roku, a ich zażyła przyjaźń narodziła się z początkowej rywalizacji o pierwsze miejsce w nauce. Dużą rolę odegrały tu podobne zainteresowania obydwu - lubili grekę i łacinę, uwielbiali rugby (uwaga: u Króla Edwarda nigdy nie grywało się w „nogę"!) i mogli dyskutować zawsze i wszędzie na każdy temat. Różniły ich przekonania religijne - szybko jednak odkryli, że i na ten temat potrafią rozmawiać bez zawziętości.

I tak przechodzili razem z klasy do klasy. Ronald miał wyjątkowe uzdolnienia językowe (zauważyła to już jego matka), a Szkoła Króla Edwarda okazała się najlepszym miejscem do rozwijania tych zainteresowań. Łacina i greka były podstawą programu nauczania, a obu tych języków uczono wyjątkowo dobrze w pierwszej (to znaczy - najwyższej) klasie. Ronald przeszedł do niej na krótko przed swoimi szesnastymi urodzinami. Klasą tą opiekował się Robert Cary Gilson, nadzwyczajny facet z dobrze utrzymaną, spiczastą bródką, równie dobry jako wynalazca-amator i utalentowany badacz, czy też jako fachowy nauczyciel klasyki. Wśród jego wynalazków była powietrzna turbina, zaopatrująca dom w światło, hektograf, służący do powiela-

I tak Tolkien po raz pierwszy mógł spotkać się z mową, którą posługiwali się dawni mieszkańcy Anglii, zanim jeszcze ziemi tej dotknęła stopa Normanów. Anglosaski - czy też staroangielski - jako poprzednik jego własnej mowy wydawał mu się jednocześnie bliski i odległy, łatwy do nauczenia i bardzo tajemniczy. Podręcznik w przystępny sposób objaśniał reguły języka i Tolkien szybko poczynił postępy w tłumaczeniu dołączonych do książki tekstów. Anglosaski nie miał może tego wdzięku, co walijski - przemawiał jednak do chłopca silnie, głównie jako historyczny przodek współczesnego języka. Prawdziwie wielkim przeżyciem stało się jednak spotkanie z oryginalną wersją staroangielskiego poematu „Beowulf". Była to dla Tolkiena najniezwyklejsza opowieść wszystkich czasów - historia wojowniczego mocarza, Beowulfa, walczącego z potworami i umierającego po walce z groźnym smokiem. Ta anonimowa opowieść powstała najprawdopodobniej w VIII wieku, a odwołuje się w jakiś sposób do realnych faktów i postaci z okresu V - VI wieku.

Jego wyobraźnię rozpalał również „Sir Gawain i Zielony Rycerz", anonimowy tekst z XIV wieku. Ten romans z kręgu Rycerzy Okrągłego nia egzaminacyjnych testów i pytań („trudnych do odczytania" - jak twierdzili odpowiadający), a także małe działko, strzelające... piłkami do golfa. Starał się zachęcać uczniów do własnych odkryć i nie ograniczał ich inicjatywy - wywarło to na Ronaldzie olbrzymie wrażenie. Gilson rówineż zachęcał swoich wychowanków do samodzielnych badań nad językami starożytnymi - a to było już wyjątkowo zgodne z zainteresowaniami Tolkiena. I tak wkrótce, częściowo inspirowany uwagami Gilsona, rozszerzył on swoje zainteresowania w kierunku ogólnych założeń języka.

Znać łacinę, grekę, francuski czy niemiecki - to była jedna sprawa, ale rozumieć, co sprawiło, iż są one tym, czym są... Tolkien zaczął poszukiwać wspólnych elementów tych języków, jednym słowem - zainteresował się filologią, nauką o słowach. A problemy te zajęły go jeszcze bardziej, gdy zetknął się z najstarszymi zabytkami literatury staroangielskiej.

Stało się tak dzięki George'owi Brewertonowi. Na jego lekcjach Tolkien zainteresował się piśmiennictwem Chaucera. Taka postawa spodobała się nauczycielowi i zaproponował on, iż pożyczy chłopcu podręcznik do nauki języka anglosaskiego.

Stołu zachwycał niezwykłością fabuły i kunsztem nieznanego autora, który z olbrzymią wprawą posługiwał się dostępnymi mu środkami poetyckimi. Język opowieści wydał się nadto Tolkienowi bliższy, gdyż przypominał mu mowę przodków jego matki. Dalej szukał wśród starych opowieści i przeczytał „Poemat o Perle", uważany dziś za jeden z wybitniejszych poematów angielskiego średniowiecza. Tak historia umarłego dziecka została napisana w XIV w. - być może nawet przez autora „Sir Gawaina" - i przypomina nam „Treny" Kochanowskiego. Pełna olśniewających alegorii i językowego bogactwa opowieść ukazuje rozpacz ojca po śmierci dwuletniej córki i senne wizje, niosące pocieszenie i tajemnicze obrazy, wywodzące się najprawdopodobniej z „Apokalipsy". Tolkien zainteresował się również językiem staronordyckim i wkrótce mógł już przeczytać - linijka po linijce - oryginalną opowieść o Sigurdzie i smoku Fafnirze, która kiedyś tak go zafascynowała w angielskojęzycznym opracowaniu Andrew Langa. W tym okresie jego wiedza o języku przekraczała już znacznie zasób wiadomości ucznia.

Rozpoczęły się poszukiwania w szkolnej bibliotece i na półkach księgarń - krąg lektur poszerzał się o książki językoznawców, m. in. niemieckich. Filologia - „umiłowanie słowa". Młody Tolkien stawał się filologiem w tym właśnie znaczeniu. Do poszukiwań popychała go chęć dokonywania naukowych odkryć i akademickie zainteresowania językowymi regułami - to była właśnie głęboka i prawdziwa miłość do słów, do ich brzmienia, miłość, która narodziła się podczas pierwszych lekcji łaciny, udzielanych Ronaldowi przez matkę.

I tak, z miłości do słów, narodziły się pierwsze próby tworzenia własnego języka.

Wiele dzieci bawi się w tworzenie nowych, własnych wyrazów. Niekiedy nawet powstają jakieś proste „języki", służące porozumienwaniu się najbardziej wtajemniczonych kolegów. Tak też było z pomysłami kuzynek Ronalda - Mary i Marjorie Incledon. Ich język nazywał się „animalic" a składał się głównie z wyrazów będących nazwami zwierząt - i tak zwrot „Dog nightingale woodpecker" („Pies słowik dzięcioł") znaczył „Jesteś... osłem". Incledonowie mieszkali w Barnt Green, poza Birmingham, a nieopodal Rednal, i bracia często spędzali tam jakąś część swych wakacji. Ronald poznał „animalic" i język ten spodobał mu

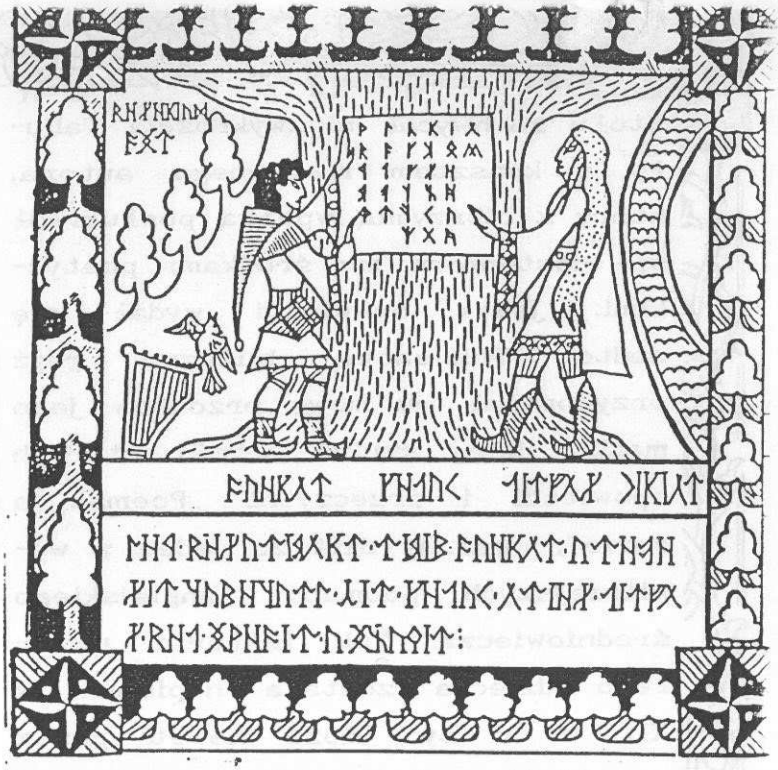

się. Kiedy później Marjorie (starsza z sióstr) przestała się interesować tymi językowymi igraszkami, Mary i Ronald zaczęli wspólnie przemyśliwać nad stworzeniem nowego i bardziej wymyślnego „języka". Nowy język nazywał się „newbosh" (albo „Nowy Nonsens") i już wkrótce kuzyni popisywali się napisanymi w tym języku limerykami. Oto jeden z nich:

Dar fys ma vel gom co palt "Hoc
Pys go iskili far maino woc?

Pro si go fys do roc de
Do cat ym maino bocte
De volt fact soc ma taimful gyroc

There was an old man who said "How
Can I possibly carry my cow?

For if I were to ask it
To get in my basket
It would make such a terrible row!"

(W przekładzie na „nasze" - mniej więcej:

Raz pewien staruszek się głowił:
„Jak nosić też mam moją krowę?

Wszak gdy ją poproszę,
By wlazła w ten koszyk,
Strasznego rabanu narobi!")

„Newbosh" chętnie korzystał z metody odwracania wyrazu - "woc" zamiast "cow", wykorzystał fonetyczne podobieństwo swoich wyrazów do ich angielskich odpowiedników - "cat" - "get", "bocte" - "basket", "dar" -

Rys Tom Loback

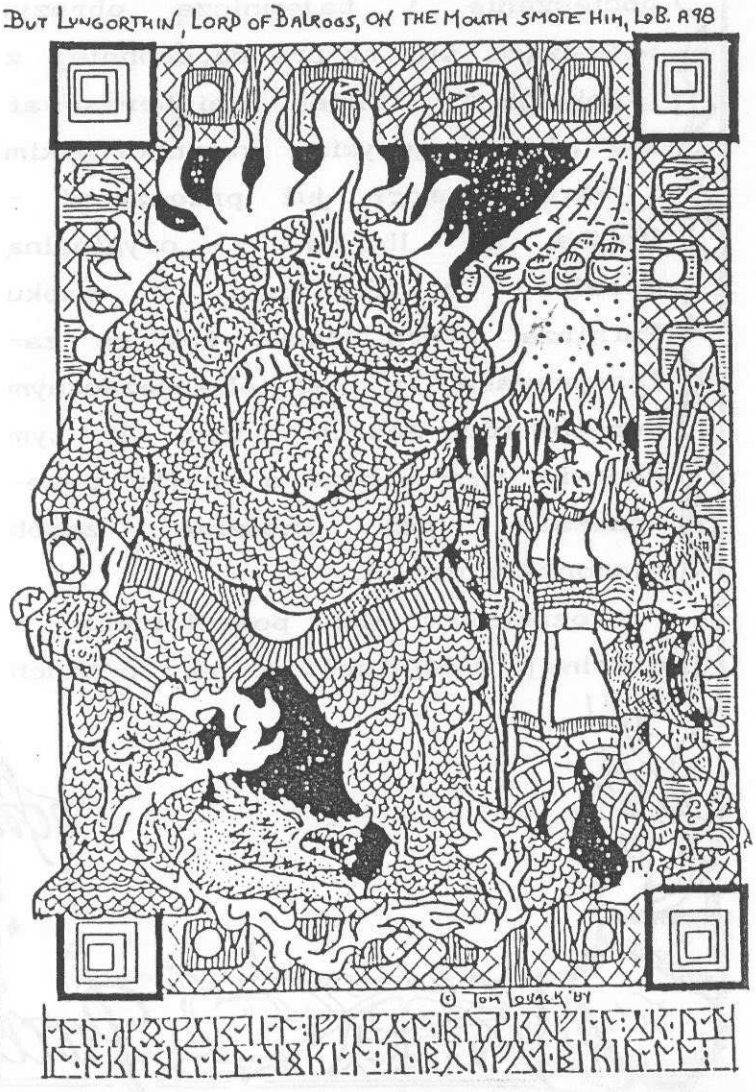

"there", "volt" - "would" i tak dalej. Zawierał jednak i bardziej skomplikowane pomysły. Tego typu zabawy wakacyjne - a także wcześniejsza nauka greki i próby tworzenia „nibygreckich" słów - nasunęły Tolkienowi myśl, iż można spróbować stworzyć zupełnie nowy język, kompletny, jeżeli chodzi o reguły gramatyczne i cały system semantyczny, bardziej „poważny" niż „newbosh" i równie sprawny jak angielski, francuski czy łacina. Język taki nie musiałby mieć jakiegoś powszechnego zastosowania - jak na przykład bardzo popularne wtedy Esperanto - mógłby służyć samemu Tolkienowi po prostu do zabawy w tworzenie coraz bardziej fantastycznych brzmień. Dlaczego jednak, skoro tak zajmowało go brzmienie samych wyrazów, nie zajął się muzyką i nie próbował komponowania jakiejś własnej symfonii?

Później Tolkien zauważył, iż takie zabawy w tworzenia własnych języków nie są obce dzieciom w wieku szkolnym. „Nie jest to nic nadzwyczajnego - powiedział kiedyś. - Większość dzieci posiada zdolności twórcze, niekoniecznie muszą przy tym malować, czy rysować lub też zajmować się muzykowaniem. Zawsze jednak pragną tworzyć coś i jeżeli główny nurt ich edukacji będzie związany z nauką języków, ich działania twórcze mogą przybrać taką właśnie formę. A jeżeli już coś ma być w tym takiego nadzwyczajnego, to chyba tylko to, iż jest to właśnie takie powszechne wśród dzieci. Myślę, że ktoś powinien kiedyś zająć się przebadaniem tego zjawiska w sposób bardziej wnikliwy".

Przystępując już do tworzenia takiego konkretnego języka młody Tolkien zdecydował, iż należy przyjąć jakiś realnie istniejący język jako model lub też jako punkt wyjściowy do takiej lingwistycznej kreacji. Walijski nie był mu znany w wystarczającym stopniu, ale w zasięgu ręki istniał zbiór równie cudownych słów - zbiór hiszpańskich książek w biblioteczce Ojca Francisa. Opiekun Tolkiena płynnie władał tym językiem i Ronald często prosił, aby kapłan nauczył go hiszpańskiego. Nic z tego nie wyszło - chłopiec uzyskał zgodę na korzystanie ze zgromadzonych książek. I tak powoli powstał „naffarin", Można tu było odnaleźć wiele wpływów hiszpańskiego - język Tolkiena posiadał jednak własny system fonologiczny i gramatyczny. Tolkien bawił się tym językiem i rozbudowywał go tak długo, dopóki nie pewnego dnia nie odkrył, iż

istnieje język ciekawszy od hiszpańskiego.

Jeden z jego kolegów kupił przypadkowo książkę, z której potem zupełnie nie korzystał i odsprzedał ją Tolkienowi. Był to „Podręcznik języka gockiego" Josepha Wrighta. Poznanie tej książki miało dla chłopca charekter takiego samego objawienia, jak kiedyś lektura pracy Chapmana o Homerze. Mowa Gotów zanikła wraz ze zmierzchem gockich plemion, zachowały się jednak fragmenty tekstów. I to właśnie było dla Tolkiena interesujące - nie wystarczała mu bowiem nauka samego języka, zabrał się za rekonstruowanie i wymyślanie hipotetycznych wyrazów „gockich" tak, aby móc potem wyprowadzić z nich przypuszczalną wersję języka germańskiego, który istniał, lecz nie został zapisany. Podzielił się swym entuzjazmem z Christopherem Wisemanem, który okazał się tutaj nader wdzięcznym słuchaczem - sam bowiem zajmował się hieroglifami egipskimi. Tolkienowi już nie wystarczało rekonstruowanie stosunkowo bliskich w czasie form językowych, zapragnął cofnąć się jeszcze dalej wstecz i poszukiwać jeszcze wcześniejszych „języków". Próbował również swoich sił w tworzeniu nowych alfabetów, zachowały się całe systemy znaków odpowiadających poszczególnym literom używanym w piśmie angielskim. Ale to działalność „językoznawcza" zajmowała go jednak w tym okresie najbardziej i po jakimś czasie mógł zanotować w swoim dzienniku: „Zrobiłem już wiele, jeżeli chodzi o mój własny, prywatny język".

Ojciec Francis starał się zapewnić swoim podopiecznym najlepsze warunki. Każdego lata zabierał ich do Lyme Regis, gdzie zatrzymywali się w Hotelu Pod Trzema Czarkami i chętnie odwiedzali mieszkających w sąsiedztwie przyjaciół księdza. Ronald bardzo polubił nadmorskie uzdrowisko, często chodził na plażę i na pobliskie wzgórza. Znalazł tam kawałek szczęki, która - kto wie, kto wie - należała może kiedyś do jakiegoś smoka. Ojciec Francis poświęcał chłopcom bardzo dużo czasu i szybko zauważył, iż nie czują się oni najlepiej u ciotki Beatrice. Po powrocie do Birmingham postanowił poszukać jakiejś lepszej kwatery dla wychowanków. Pomyślał o pani Faulkner, znanej z muzycznych zamiłowań, mieszkającej za Oratorium przy Duchess Road i mającej pokoje do wynajęcia. Wydawało mu się, że to mieszkanie będzie dla chłopców bardziej odpowiednie. Pani Faulkner zgodziła się i na początku

Ilustracja do Unfinished Tales
"Of Tuor and His Coming to Gondolin"

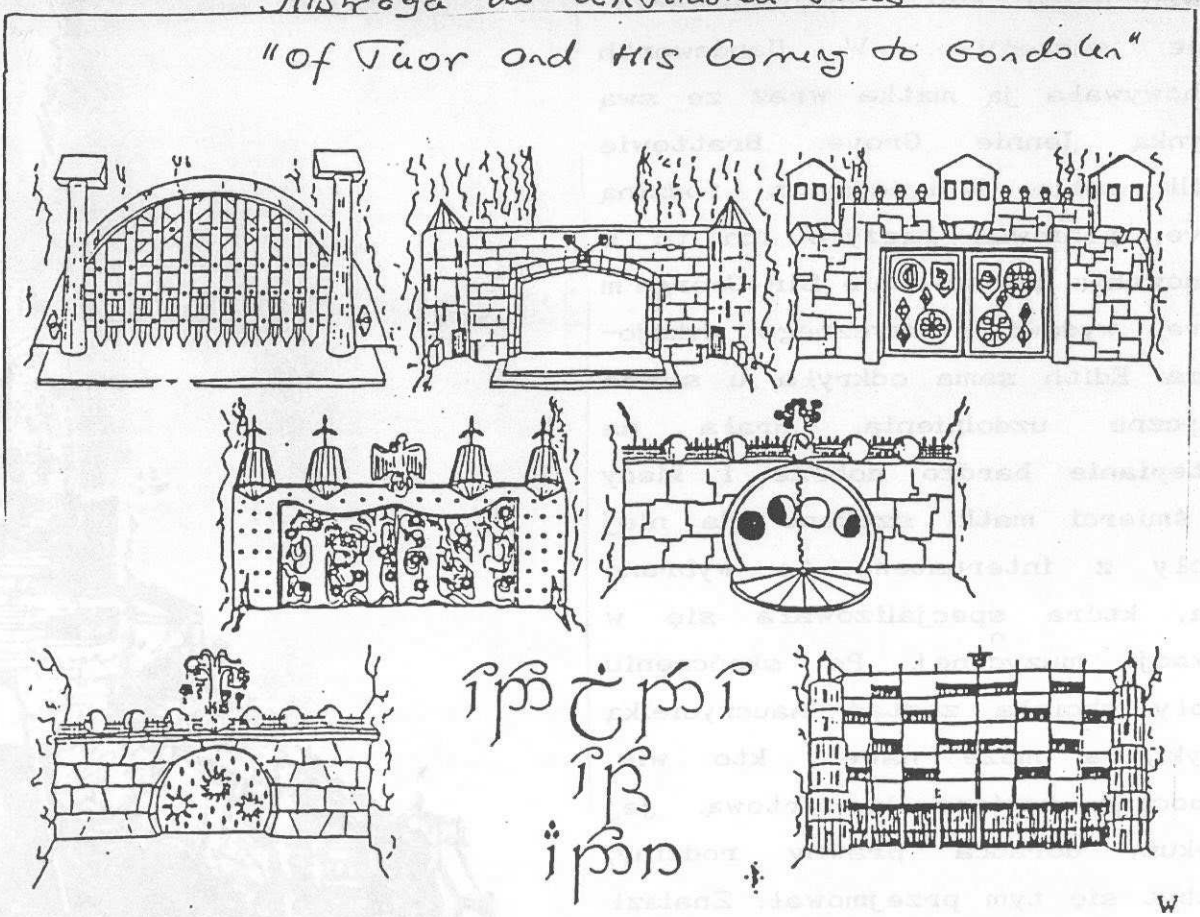

1908 roku Tolkienowie przenieśli się do niej.

Dom był dosyć ponury, obrośnięty gęstymi pnączami i prezentujący w oknach niezbyt już eleganckie koronkowe firanki. Chłopcy zamieszkali na drugim piętrze. W domu mieszkał jeszcze mąż pani Faulkner, Louis, kupiec winny, odznaczający się specjalnym upodobaniem do swych towarów, Helena, córka właścicieli, Annie - pokojówka i jeszcze ktoś... w pokoiku tuż pod sypialną chłopców mieszkała dziewiętnastoletnia dziewczyna, spędzająca zresztą większość czasu przy maszynie do szycia. Nazywała się Edith Bratt.

Była ładna i to rzucało się w oczy: niezbyt wysoka, szczupła, miała szare oczy, pogodną twarz i krótkie ciemne włosy. Chłopcy odkryli, iż była sierotą - jej matka zmarła pięć lat temu, a ojciec nieco wcześniej.

W rzeczywistości Edith była jednak dzieckiem nieślubnym. Jej matka, Frances Bratt, najprawdopodobniej po to, by uniknąć skandalu, wyjechała przed porodem z Wolverhampton (tu jej rodzice mieli wytwórnię obuwia) i urodziła córkę w Gloucester, 21 stycznia 1889 roku. Miała wtedy trzydzieści lat. Wróciła potem do okręgu Birmingham, by stawić czoła plotkarzom i wychowywała córkę na przedmieściu Handsworth. Nigdy nie wyszła za mąż, a w metryce dziecka nie umieszczono nazwiska ojca. Frances przechowywała jego fotografię i jej rodzina wiedziała, kim on jest. Nie wiemy, czy również Edith znała nazwisko ojca - w każdym razie nigdy nie zdradziła tego swoim dzieciom.

Dzieciństo Edith było umiarkowanie szczęśliwe. W Handsworth wychowywała ją matka wraz ze swą kuzynką Jennie Grove. Brattowie cenili sobie koligacje z rodziną Grove, ponieważ łączyło ich to z szanowanym powszechnie Sir George'm Grove, wydawcą muzycznego dykcjonarza. Edith sama odkryła u siebie muzyczne uzdolnienia. Grała na fortepianie bardzo dobrze i kiedy po śmierci matki szukano dla niej szkoły z internatem, to wybrano taką, która specjalizowała się w edukacji muzycznej. Po skończeniu szkoły chciała zostać nauczycielką muzyki, a może nawet, kto wie, rozpocząć karierę koncertową. Jej opiekun, doradca prawny rodziny, niezbyt się tym przejmował. Znalazł dla niej pokój u pani Faulkner, wychodząc z założenia, iż muzyczna atmosfera tego domu będzie już wystarczająca. Nie miał dalszych planów co do jej losów, nie widział bowiem potrzeby, aby dziewczyna po-

dejmowała próby usamodzielnienia się. Edith miała pewne zabezpieczenie finansowe w niewielkich obszarach ziemi na terenie Birmingham i dochody z nich wystarczały na jej utrzymanie. I tak dziewczęce marzenia o profesjonalnym uprawianiu muzyki rozpłynęły się - nie zrobiono bowiem w kierunku ich realizacji zupełnie nic, ani przedtem, ani potem. Edith mieszkała więc u pani Faulkner i bardzo szybko odkryła, iż jej gospodyni nie ma nic przeciwko akompaniowaniu solistom podczas jej wieczorków, ale w sprawie codziennego i systematycznego zajmowania się edukacją muzyczną Edith ma zdanie zupełnie odmienne. „Ależ kochana Edith" - mówiła pani Faulkner, wchodząc do pokoju, gdy tylko Edith uniosła wieko fortepianu i uderzyła w klawisze - „sądzę, iż tego już w zupełności wystarczy". I markotna Edith maszerowała na górę do swego pokoju i swojej maszyny do szycia.

W tym czasie w domu pojawili się Tolkienowie. Edith uznała ich za sympatycznych. Szczególnie polubiła Ronalda, być może z powodu jego poważnego wyglądu i nienagannych manier. Chłopiec zauważył, iż jej bezpośredni sposób bycia przezwyciężył jego początkową tremę. Wkrótce też zaprzyjaźnili się ze sobą.

To prawda, on miał szesnaście, a ona - dziewiętnaście lat. Ale on wyglądał bardzo poważnie, jak na swój wiek, a ona jemu wydawała się bardzo młoda, była poza tym zgrabna, niezbyt wysoka i wyjątkowo urocza. Oczywiście, nie mogła podzielać jego lingwistycznych zainteresowań, sama bowiem w tej materii odebrała niezbyt głębokie wykształcenie - ale jego sposób zachowania był tak szalenie ujmujący. Stali się sprzymierzeńcami w walce ze Starą Lady, jak nazywali panią Faulkner. Edith namówiła pokojówkę do podbierania w kuchni smakołyków dla głodnych chłopców, a kiedy Starej Lady nie było w domu - zapraszała ich do siebie na sekretne uczty.

Edith i Ronald zaczęli spotykać się w harbaciarniach. Upodobali sobie szczególnie tę, która miała zawieszony nad ulicą balkon. Siedzieli sobie tutaj i rzucali kostki cukru na kapelusze przechodzących dołem ludzi, a kiedy cukiernica na ich stoliku została opróżniona - przesiadali się gdzie indziej. Później wymyślili sobie specjalny sposob gwizdania. Kiedy Ronald słyszał taki gwizd - obojętne, rano czy wieczorem - wychylał się ze swego okna, a Edith czekała już w oknie pokoju poniżej.

I tak powoli, powoli, zażyłość przekształciła się w romans. Oboje byli sierotami spragnionymi czułości i odkryli, iż mogą obdarzać się nią nawzajem sami. Podczas lata 1909 roku utwierdzili się w przekonaniu, że łączy ich miłość.

W jednym z listów do Edith, już kilka ładnych lat później, Ronald wspominał to tak: „Mój pierwszy pocałunek dla ciebie i twój pierwszy pocałunek dla mnie (a przecież tak przypadkowe) i nasze >dobranoc<, kiedy miałaś czasem na sobie swoją małą, białą nocną koszulkę, i nasze długie, pozbawione sensu rozmowy z okna do okna; i wspólne przyglądanie się, jak z porannej mgły ponad miastem podnosi się słońce, a Big Ben wybija godzinę za godziną, i ćmy, których się zawsze tak bałaś - i nasze gwizdy - i nasze wycieczki rowerem - i te płomienne wyznania - i trzy gorące pocałunki".

Ronald miał zamiar ubiegać się o stypendium na studia w Oxfordzie, ale jak tu skupić się na analizie klasycznych tekstów, gdy jedną połową jego uwagi zawładnęło wymyślanie coraz to nowych języków, a drugą - Edith. A do tego była jeszcze nowa atrakcja w szkole - Klub Dyskusyjny, szczególnie popularny wśród starszych chłopców. Ronald nie udzielał się początkowo za bardzo na tych spotkaniach, częściowo z powodu swojego trochę piskliwego, chłopięcego głosu, a częściowo i na skutek opinii, jakoby był mówcą raczej mętnym w dowodzeniu swoich racji. W tym okresie jednak wygłosił kilka mów, choć szkolny magazyn, relacjonujący tego typu debaty, dopatrzył się tam pewnych uchybień. Mówił więc o sufrażystkach, o najeździe Normanów (ten temat zaproponował chyba sam) i o twórczości Szekspira. Grał również w rugby i jakkolwiek nie miał nadzwyczajnych warunków, nadrabiał to brawurą. Przyjęto go nawet w tym sezonie do reprezentacji szkoły i w meczach tych grał tak, jak nigdy dotąd. Niewątpliwie na jego ambicje oratorsko-sportowe miała duży wpływ znajomość z Edith.

Pod koniec 1909 roku postanowili wybrać się na większą rowerową wycieczkę. „Wydawało nam się, iż obmyśliliśmy wszystko bardzo sprytnie." - wspominał pisarz. - "oficjalnie Edith miała jechać rowerem w odwiedziny do swej kuzynki, Jennie Grove. Po jakimś czasie miałem wyruszyć i ja - oczywiście oficjalnie też w zupełnie innym celu". Potem spotkali się i wyruszyli w kieruku Lickey. Spędzili całe popołudnie na wzgórzach a potem poszli do Rednal na herbatę, do domu, w którym jakiś czas temu Ronald przygotowywał się do egzaminów. Następnie wrócili do domu, oczywiście oddzielnie, zadowoleni ze swej przebiegłości. Pech jednak sprawił, iż kobieta, u której byli na herbacie, podzieliła się z panią Church, dozorczynią Domu Oratorium w Rednal, wiadomością, że odwiedził ją pan Ronald w towarzystwie jakiejś zupełnie obcej dziewczyny. Pani Church zwierzyła się z tego kucharzowi w Oratorium, a kucharz - który nie przepuścił żadnej okazji, by przekazać dalej tego typu historie - powiedział Ojcu Franciscowi.

Opiekun Ronalda, który starał się być jak ojciec dla swego wychowanka, nie mógł zrozumieć, iż ten, któremu poświęcał tyle uczuć, troski i pieniędzy, miast skupić się na nauce szkolnej, wdaje się w miłosne afery i to z dziewczyną starszą odeń o trzy lata, na dodatek mieszkającą jeszcze w tym samym domu. Wezwał Ronalda do Oratorium, powiedział mu, iż cała ta sprawa głęboko nim wstrząsnęła i zażądał przerwania tej znajomości. Następnie zajął się szukaniem nowego mieszkania dla chłopców.

Dziś może się nam to wydawać dziwne, iż Ronald nie sprzeciwił się woli księdza i po prostu otwarcie nie kontynuował tej znajomości. W tamtych jednak czasach młodzi ludzie musieli być posłuszni rodzicom i opiekunom - zwłaszcza, że Ronald miał wiele szacunku do swego opiekuna, a nadto korzystał z jego pieniędzy. No i nie był „młodym, gniewnym człowiekiem"... Możemy teraz zrozumieć, dlaczego wysłuchał uwag opiekuna i przystał na jego warunki.

W samym środku tego zamieszani Ronald musiał wyjechać do Oxford na egzaminy związane z ubieganie się o stypendium. Jeżeli nawet wy jeżdżał w nienajlepszym stani ducha, to jednak pierwsze spojrze nie na Oxford musiało go pokrzepi Zatrzymał się w Corpus Christ College, a z jego wież i okie otwierał się widok, przy któr stara szkoła edwardiańska by tylko nikłym cieniem. Oxford b dla niego zupełną nowością - ch ciażby i z tego powodu, że żaden jego przodków nie miał okazji tut studiować. Miał więc tu bron honoru Tolkienów i Suffieldó udowodnić Ojcu Francisowi, iż godn jest jego przywiązania i hojności jednocześnie dołożyć starań, uczucie do Edith nie przeszkodzi mu w tym zbożnym dziele. A nie by to tak łatwe. Już wkrótce zauważ na tablicy ogłoszeń, iż odpadł nie będzie przyjęty. Powędrow więc skruszony przez Merton Stre i Oriel Square na stację, prze wiadczony, iż nie będzie mógł wrócić.

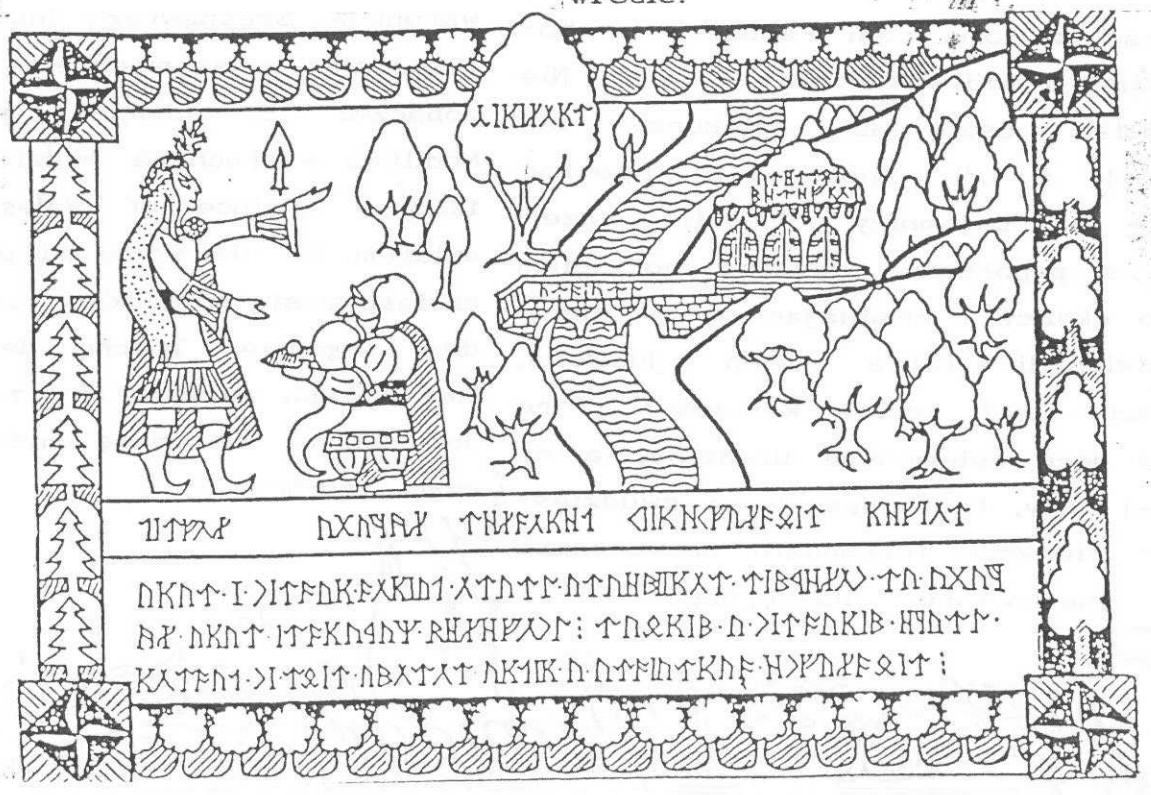

23

RqST.

Lobcke

Prawdę mówiąc, jego przegrana nia była właściwie niczym zaskakującym. Oxford stawiał zawsze surowe wymagania a Tolkien zetknął się z czymś takim po raz pierwszy. Mógł oczywiście ubiegać się o przyjęcie w roku następnym, ale istniała obawa, iż będzie już za stary, by uzyskać stypendium, a na naukę bez tego zapezpieczenia po prostu nie było stać jego opiekuna. Musiał więc solidnie przyłożyć się do nauki.

„W rozpaczy i ciemnościach jak nigdy dotąd" - pisał w swym dzienniku pod datą 1 stycznia 1910 roku. - „Boże, pomóż. Czuję się słaby i znużony." (jest to jego pierwsza próba prowadzenia dziennika - a przynajmniej najwcześniejsza, jaka się zachowała. Zarówno wtdey, jak i w późniejszych okresach swego życia, Tolkien sięgał po dziennik głównie w chwilach przygnębienia i rozpaczy, a kiedy kłopoty mijały - przerywał prowadzenie notatek). Ronald stał teraz wobec problemu, który spowodował przeprowadzkę obu braci z domu pani Faulkner - chodziło o widywanie się z Edith. Nie chciał oszukiwać opiekuna, ale oboje z Edith postanowili spotkać się w tajemnicy. Spędzili razem całe popołudnie, jeżdżąc pociągiem po okolicy i omawiając swoje plany. Odwiedzili także sklep jubilera, gdzie Edith kupiła Ronaldowi pióro na jego osiemnaste urodziny, a on jej mały, tani zegarek na dwudzieste pierwsze (obchodzili je zresztą w herbaciarni następnego dnia). Edith zgodziła się przyjąć zaproszenie swej koleżanki z Cheltenham i zamieszkać wraz z nią i jej mężem. Ronald, kiedy mu o tym powiedziała, zanotował w dzienniku - „Dzięki Bogu", ponieważ było to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie.

Widziano ich jednak razem - Ojciec Francis postawił więc sprawę jasno: Ronaldowi nie wono spotykać się z Edith i nie wolno pisywać do niej. Chciał jednak zobaczyć ją chociaż raz, aby się pożegnać przed wyjazdem do Cheltenham. Nie wolno im było komunikować się z sobą aż do osiągnięcia przez Ronalda pełnoletności - a więc do momentu ukończenia przez niego dwudziestu jeden lat. Wtedy dopiero mógł uwolnić się od kurateli opiekuna. Oznaczało to jednak trzy lata oczekiwań... „Trzy lata... okropne!" - zapisał Ronald w swoim dzienniku.

Bardziej niezależny młodzieniec mógłby wymówić posłuszeństwo; nawet Ronald, tak lojalny wobec Ojca Francisa, zauważył, iż ciężko mu jest wywiązać się z przyjętych warunków. Szesnastego lutego pisał: „Ostatniej nocy modliłem się, żeby zobaczyć E. chociaż przelotnie. Modlitwa wysłuchana. Widziałem ją o 12.25 w „Prince of Wales". Powiedziałem, że nie wolno mi pisać i że chciałbym się spotkać w czwartek za dwa tygodnie. Trochę lepiej, ale ileż trzeba czekać, aby znów dodać jej otuchy. Nie mogę myśleć o niczym innym".

I dwudziestego pierwszego lutego - „Zobaczyłem przygnębioną, małą postać w nieprzemakalnym płaszczu i tweedowym kapelusiku i nie mogłem nie podejść i nie powiedzieć kilku słów miłości i pocieszenia. Pokrzepiło mnie to trochę na jakiś czas. Modlę się i rozmyślam nieustannie". A dwudziestego trzeciego - „Spotkałem ją wychodzącą z katedry - modliła się za mnie".

Chociaż te spotkania miały charakter przypadkowych, to ich efekty były najgorsze z możliwych. Dwudziestego szóstego lutego Ronald zanotował, iż „przyszedł okropny list od O. Fr. Pisze, że widziano nas znowu razem i nazywa to dowodem głupoty i złej woli. Grozi mi ukróceniem mojej uniwersyteckiej kariery, jeżeli nie przestanę. Sądzi, że mogę nie widywać E. Ani pisać do niej. Boże, pomóż. Widziałem E. w południe, ale nie mogłem pobyć z nią. Wszystko zawdzięczam O. Fr. i winien mu jestem posłuszeństwo". Kiedy Edith dowiedziała się o tym, napisała do Ronalda- „Nastał dla nas czas najcięższej próby".

I tak we środę, 2 marca, Edith wyruszyła z Duchess Road do nowego mieszkania w Cheltenham. Rozżalony na „bezprawie" swego opiekuna Ronald błagał Boga o jakąkolwiek wieść od Edith. Kiedy zbliżała się pora jej odjazdu, wybiegł na ulicę i szukał jej. Początkowo na próżno, ale „na rogu Francis Road minęła mnie jadąc rowerem na stację. A więc nie ujrzę jej znowu może przez całe trzy lata".

Opracował M. Błażejewski

art by M. Pucek

Przeczytaliśmy dla was:
TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Company, Boston 1977.

Dorastanie
III. T. C., B. S., etc.

Ojciec Francis nie był chyba zbyt bystrym człowiekiem skoro nie dostrzegł, iż rozdzielając Ronalda i Edith przekształcił zwykłe być może młodzieńcze zadurzenie w poważny romans. W trzydzieści lat później sam Tolkien ujął to tak: „Najprawdopodobniej nic innego nie umocniłoby tak naszych uczuć - nawet gdyby już wtedy nie były tak prawdziwą miłością".

Po wyjeździe Edith Ronald całymi tygodniami czuł się fatalnie. Na Wielkanoc uprosił Ojca Francisa o zgodę na napisanie listu do dziewczyny i - jakkolwiek niezbyt chętnie - zgodę taką otrzymał. Odpowiedziała na jego list - pisała, że w nowym domu jest szczęśliwa a te wszystkie przykre wydarzenia z Duchess Road wydają się jej jedynie snem.

Życie w Cheltenham Edith uważała za bardzo przyjemne z wielu powodów. Mieszkała u rodziny Jessopów, nazywała ich „wujkiem" i „ciocią", chociaż nie było pomiędzy nią i nimi żadnego pokrewieństwa. „Wujek" miał skłonności do gderania, „ciotka" natomiast do wszystkiego odnosiła się z dużą wyrozumiałością. Poza miejscowym wikarym i starymi przyjaciółmi Jessopów dom odwiedzało niewiele osób. Edith miała jednak przyjaciółkę w swoim wieku, Molly Field, mieszkającą zresztą w pobliżu. Powróciła też do swoich planów artystycznych - ćwiczyła codziennie na fortepianie, brała także lekcje gry na organach a nawet przygrywała podczas nabożeństw w parafialnym kościele anglikańskim. Chodziła do kościoła regularnie i angażowała się w życie parafii, biorąc udział w wycieczkach chóru i młodzieżowego klubu. Wstąpiła także do Primrose League, konserwatywnego ugrupowania, powołanego w celu utrzymania założeń polityki Diraele'go i uczestniczyła w mityngach konserwatystów. Żyła więc według własnych upodobań i wydawało jej się to znacznie lepsze od tego, co robiła przedtem - w każdym razie była przekonana, iż trudno byłoby jej rozstać się z takim trybem życia.

A dla Ronalda najważniejsza była teraz szkoła. Stosunki z Ojcem

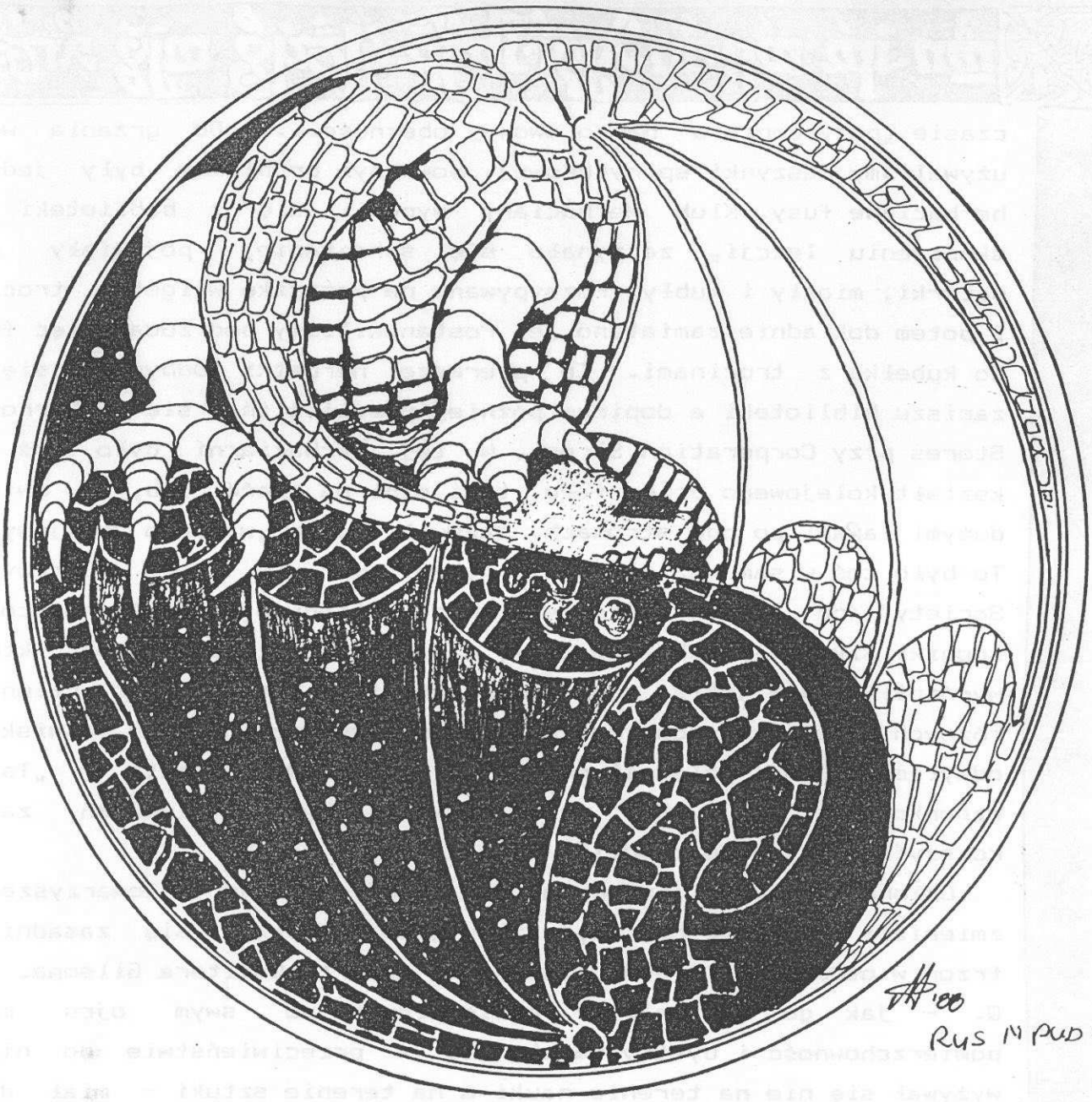

Biblioteka szkolna u Króla Edwarda była prawdziwą „instytucją". Formalnie podlegała ona jednemu z pracowników szkoły, w praktyce zarządzała nią jednak grupa starszych chłopców. Nosili oni dumny tytuł Bibliotekarzy. W 1911 roku grupę tę stanowili: Ronald Tolkien, Christopher Wiseman, R. Q. Gilson (syn ówczesnego dyrektora szkoły) i jeszcze trzech lub czterech innych „starszoklasistów". Z czasem ta mała grupka przekształciła się w nieoficjalne stowarzyszenie zwane „Klubem Herbacianym" (Tea Club). A oto, zanotowane sześćdziesiąt cztery lata później, wspomnienia Wisemana o początkach tego klubu:

„Zaczęło się to tak jakoś w letnim trymestrze. Egzaminy miały być dopiero za sześć tygodni i właściwie nie mieliśmy już nic do roboty. Zaczęliśmy więc robić sobie „herbatki" w szkolnej bibliotece. Działało to na zasadzie składkowej - kiedyś ktoś nawet przyniósł konserwę rybną, ale jakoś nikt nie miał na nią ochoty. Stała sobie gdzieś w kącie na jednej z półek i dopiero po dłuższym

czasie „przypomniała" nam o swojej obecności... Do grzania wody używaliśmy maszynki spirytusowej, poważnym problemem były jednak herbaciane fusy. Klub Herbaciany wynosił się z biblioteki po skończeniu lekcji, zaczynało się sprzątanie, pojawiały się ścierki, miotły i kubły, rozsypywano na posadzkę wilgotne trociny i potem dokładnie zamiatano je. Postanowiliśmy podrzucać więc fusy do kubełka z trocinami. Te pierwsze herbatki odbywały się w zaciszu biblioteki a dopiero później przenieśliśmy się do Barrow's Stores przy Corporation Street. W tej herbaciarni było coś na kształt kolejowego przedziału, taki stół na sześć osób, z dwiema dużymi ławami po obu stronach. Nazywał się to „wagonem kolejowym". To było coś w sam raz dla nas, nazwaliśmy się nawet „Barrovian Society" (od „Barrow's Stores"). Potem, kiedy byłem już redaktorem kroniki szkolnej, publikowaliśmy w niej także listy osób, które wyróżniły się w jakiś sposób. Wtedy też, wymieniając członków różnych szkolnych stowarzyszeń, umieściłem przy naszych nazwiskach odsyłacze a na dole strony było takie wyjaśnienie - „Także członkowie T. C., B. S., etc." Trwało chyba z tydzień, zanim rozszyfrowano, o co chodzi".

Członkowie tego dziwnego i nieoficjalnego stowarzyszenia zmieniali się dosyć często, szybko jednak ustalił się zasadniczy trzon w osobach Tolkiena, Wisemana i Roberta Quiltera Gilsona. R. Q. - jak go nazywali - odziedziczył po swym ojcu miłą powierzchowność i bystry umysł, ale w przeciwieństwie do niego wyżywał się nie na terenie nauki a na terenie sztuki - miał duży talent do rysunków i projektowania. Był małomówny lecz dowcipny, czuły na malarstwo renesansowe i osiemnastowieczne. jego zainteresowania kontrastowały z upodobaniami dwóch pozostałych. Wiseman zajmował się naukami przyrodniczymi i muzyką - został potem znakomitym matematykiem i kompozytorem-amatorem. John Ronald (tak wtedy nazywano Tolkiena), zajmował się językami germańskimi, interesowała go ogólnie filologia a szczegółowo - piśmiennictwo ludów Północy. Wszyscy trzej posiadali dobrą orientację w literaturze greckiej i rzymskiej i tak - z wypośrodkowaniem pomiędzy różnymi upodobaniami - wyrastała przyjaźń.

Tolkienowski wkład w działalność T. C., B. S., jak sami również zaczęli siebie nazywać, odzwierciedlał szeroką gamę jego ówczesnych lektur. Zachwycił więc swoich przyjaciół recytacjami fragmentów z „Beowulfa", „Perły" i „Sir Gavena", przedstawił

odpowiednio mocne epizody z nordyckiej „Völsungasaga" a także - swoje zastrzeżenia wobec Wagnera, którego interpretacji starych germańskich mitów nie poważał. Jego uczone wywody nie wydawały się pozostałym dziwacznymi - w rzeczy samej (jak określił to potem Wiseman) „T. C., B. S. zaakceptowało je już chociażby z tego prostego powodu, iż samo było wystarczająco dziwaczne". Może tak i było - w każdym razie tego typu paczki nie były (i chyba nadal nie są) czymś nadzwyczajnym wśród nastolatków, które dobrą naukę łączą z entuzjastycznym przeżywaniem własnych odkryć intelektualnych.

Później do tej grupy dołączył jeszcze czwarty chłopiec - Geoffrey Bache Smith, młodszy o rok od Gilsona a o trzy - od Tolkiena. Nie był „klasykiem z wykształcenia i upodobań", można powiedzieć, iż był reprezentantem „modernistycznych" tendencji szkoły. Mieszkał z bratem i owdowiałą matką w West Bromwich i posiadał to „coś", co jego przyjaciele nazywali „środkowoangielskim poczuciem humoru". T. C., B. S. przyjęło go między innymi i z tego powodu, iż posiadał umiejętności raczej rzadkie w szkole - bardzo dobrze znał się na nowszej literaturze angielskiej, zwłaszcza na poezji a ponadto sam był dość sprawnym poetą. Pod wpływem G. B. S. członkowie T. C., B. S. żywiej zaczęli interesować się poezją - również i Tolkienowi było to na rękę.

Tylko dwaj wykładowcy w szkole Króla Edwarda w poważny sposób nauczali literatury angielskiej. Jednym z nich był wspomniany już George Brewerton, drugim R. W. Reynolds. „Dickie" Reynolds był ponadto krytykiem w jednym z londyńskich czasopism i próbował wyrabiać u swych wychowanków „nowoczesne" poczucie smaku i stylu. Trzeba tutaj przyznać, iż Tolkien, zamiłowany „klasyk", przekładający Greków i Rzymian nad poezję Miltona i Keatsa, nie był jednak najlepszym dowodem skuteczności takich działań. Musiało jednak coś z tych inspiracji trafić na podatny grunt, skoro osiemnastoletni Tolkien podejmować zaczął pierwsze poważniejsze próby poetyckie. Nie pisał dużo i nie były to jakieś literackie „nadzwyczajności", nawet w porównaniu z innymi tego typu przedsięwzięciami młodocianych poetów. Warto jednak przywołać fragment napisanego w lipcu 1910 wiersza, opisującego scenerię lasu i zatytułowanego „Leśne słońce":

Świetliste duszki, nucąc pieśń lekko przybliżcie się na palcach
jak zwid, radości skrzące się odbicie, w blaski spowite,
smutkom obce,
przyjdźcie i szybko nie odchodźcie z kobierców rudych
i zielonych
O, przyjdźcie do mnie, tańczcie dla mnie, o, leśne duszki,
przyjdźcie tutaj!
Śpiewajcie dla mnie swoją pieśń nim się w powietrzu rozwiejecie!

Czarodziejskie zjawy tańczące na leśnych kobiercach trochę dziwią w wierszach osiemnastoletniego gracza w rugby, lubiącego w dodatku opowieści o smoku Fafnirze. Co mogło skłonić Tolkiena do wyboru takiego tematu?

„Winę" częściowo ponosi tutaj Sir James Matthew Barry, autor czytanego do dziś „Piotrusia Pana". W kwietniu 1910 roku Tolkien widział w Birmingham adaptację sceniczną tej powieści i fakt ten skrzętnie odnotował w swoim dzienniku: „To nie do opisania, nie zapomnę tego do końca życia! Gdybyż jeszcze Edith była wtedy ze mną...". Może większy jeszcze wpływ miało tutaj odkrycie wierszy katolickiego mistyka i poety, Francisa Thompsona. Tolkien dobrze poznał jego twórczość, jeszcze w szkole stała mu się ona bliska, mało tego - z czasem zaczął uchodzić nawet za eksperta w tej dziedzinie. „Leśne słońce" wykazuje pewne podobieństwa do epizodu z pierwszej części Thompsonowskiego „Śpiewnika dla siostry", gdzie poeta opisywał swoje spotkanie z elfami i duszkami leśnymi. Bez względu na to, jak konkretnie wyglądały początki zainteresowań Tolkiena elfami, trzeba przyznać, że pojawiają się one wiele razy także w jego wczesnych poematach.

Podczas całego 1910 roku Ronald intensywnie przygotowywał się do ponownej walki o stypendium w Oxfordzie. Na naukę poświęcał więc tyle czasu, ile tylko mógł. Oczywiście - były tu różne „przeszkody" a wśród nich rugby nie było taką przeszkodą najważniejszą. Ronald spędzał jednak na boisku sporo popołudni i często dopiero po zmierzchu wracał rowerem do domu. Rugby jest dosyć brutalną grą i często towarzyszą jej najróżniejsze kontuzje. Nie ominęły one i Tolkiena - podczas meczu złamał sobie nos i nie udało się już potem przywrócić jego poprzedniego kształtu, przygryzł sobie również język i chociaż zranienie to zostało wyleczone uważał, iż pozostałość po tej kontuzji odbiera pewną

wyrazistość jego wymowie. (Prawdę powiedziawszy już przedtem nie uważano go za wybitnego oratora, była tu jednak winna głównie jego mierna argumentacja a nie późniejsze okaleczenie. Z czasem się to zmieniło, stał się również wspaniałym recytatorem, czego dowodem są chociażby zachowane nagrania - tu nie można niczego zarzucić ani pod względem artykulacji, ani pod względem interpretacji.). Dużo czasu poświęcał także nauce języków - obcych i wymyślonych, czytał sporo i niejednokrotnie nauczyciele musieli hamować jego naukowe zapędy. Często brał udział w posiedzeniach Klubu Dyskusyjnego. Było regułą, iż wszystkie toczone tam dysputy prowadzono w języku łacińskim - dla Ronalda było to oczywiście nazbyt proste, toteż gdy przypadła mu kiedyś rola ambasadora Grecji, całą swą mowę do Senatu wygłosił w tym właśnie języku, przedstawiając reprezentanta plemion barbarzyńskich posłużył się płynnie mową Gotów a przy innej okazji - językiem anglosaksońskim. Taka aktywność była bardzo czasochłonna. Tolkien nie mógł więc z czystym sumieniem powiedzieć, iż przygotowaniom do oxfordzkich egzaminów poświęcał cały należny temu czas. Do Oxfordu (grudzień 1910) jechał jednak ufny w swoje możliwości.

I rzeczywiście powiodło mu się. Z wywieszonej 17 grudnia 1910 roku listy dowiedział się, iż przyznano mu stypendium na studia w Exeter College. Nie był jednak w pełni zadowolony z ostatecznego wyniku - czekające na niego kolegium nie należało do tych najbardziej prestiżowych, po cichu liczył też na wyższe stypendium. To, które dostał, nie było najwyższej rangi i wynosiło tylko sześćdziesiąt funtów na cały rok. W sumie nie oznaczało to wielkiego sukcesu - z pomocą swej starej szkoły i przy finansowym wsparciu Ojca Francisa mógł jednak znaleźć się w Oxfordzie, a to przecież było najważniejsze.

Przyszłość miał więc w jakiś sposób zapewnioną i będąc „prawie" studentem i „nieco" uczniem mógł sobie teraz troszkę „odpuścić" w szkole. Nie znaczy to wcale, że u Króla Edwarda nie miał już żadnych obowiązków. Pełnił tutaj przecież funkcję prefekta (coś w rodzaju starosty klasy), był sekretarzem Klubu Dyskusyjnego i sekretarzem drużyny rugby. W szkolnym Towarzystwie Literackim zaprezentował obszerny tekst o sagach, ilustrowany fragmentami w języku oryginału. W tym samym mniej więcej czasie natrafił bowiem na „Kalevalę", zbiór poematów, stanowiący podstawę informacji o fińskiej mitologii. Poczuł się tu, jak u siebie w domu i

postanowił jak najszybciej przeczytać całą rzecz w fińskim oryginale.

Trymestr letni 1911 roku był już ostatnim okresem jego nauki u Króla Edwarda. Tradycyjnie kończono naukę wystawieniem jakiejś sztuki greckiej z przerobionymi nieco na music-hallową modłę chórami. Wybrano tym razem „Pokój" Arystofanesa a Tolkienowi w tej inscenizacji przypadła rola Hermesa. Następnie - co również było edwardiańskim zwyczajem - na zakończenie uroczystości odśpiewano po grecku... brytyjski hymn narodowy. I potem - dosłownie i w przenośni - zapadła kurtyna nad dotychczasową karierą szkolną Ronalda. „Oczekujący krewni przysłali po mnie szkolnego portiera" - wspominał po latach pisarz. - „Poinformował on ich, iż moje przybycie może się nieco opóźnić. „Teraz albowiem" - oznajmił im z namaszczeniem - „jest duszą całego towarzystwa". Było to powiedziane szalenie taktownie. W rzeczywistości bowiem, grając w greckiej sztuce, w himationie i sandałach odstawiałem coś, co według mego mniemania miało być jarmarczną imitacją dzikiego bachicznego tańca". I tak nagle wszystko to skończyło się. Tolkien lubił swoją szkołę i opuszczał ją bardzo niechętnie. „Czułem się" - napisze później - „jak młody wróbel, którego wykopano z gniazda na wysokiej gałęzi".

Podczas letnich wakacji wyruszył do Szwajcarii. Wraz z bratem dołączył do grupy zorganizowanej przez rodzinę Brookes-Smithów. Hilary opuścił bowiem szkołę wcześniej i zajął się rolnictwem - pracował na farmie Brookes-Smithów w Sussex. Wycieczkowiczów było około tuzina - Smithowie i ich dzieci, młodzi Tolkienowie, ich niedawno owdowiała ciotka Jane i zaprzyjaźnieni z Brookesami nauczycielki. Dojechali do Interlaken i dalej maszerowali pieszo. Po pięćdziesięciu sześciu latach Tolkien wspominał, jak obładowani plecakami wędrowali po górskich ścieżkach, wchodząc na górskie szczyty i skrzące się bielą lodowce. Nocowali w górskich szopach, posiłki jadali na świeżym powietrzu, przeżyli także lawinę kamieni i następnie - powrót do hałaśliwej cywilizacji.

Przed powrotem do Anglii Ronald kupił kilka widokówek. Była pomiędzy nimi reprodukcja obrazu niemieckiego malarza, J. Madelenera, przedstawiającego starego człowieka, siedzącego na skale pod sosną. Miał siwą brodę, długą opończę i szerokoskrzydły kapelusz. Mówił coś do białego jelonka, tulącego się do jego rąk. Twarz starca była równocześnie zabawna i pełna współczucia. W dali

widać było zarysy gór - sam obraz nazywał się „Duch Gór". Tolkien przechowywał tę kartkę przez długie lata a na kopercie dopisał później „Zapowiedź Gandalfa".

Grupa podróżników wróciła do Anglii na początku września. W Birmingham Tolkien spakował cały swój majątek. W połowie października skorzystał z propozycji swojego starego nauczyciela „Dickie" Reynoldsa i wyruszył jego samochodem do Oxfordu by rozpocząć tam naukę.

opr. MICHAŁ BŁAŻEJEWSKI

Rys G. KNEFEL

PRZECZYTALIŚMY DLA WAS:

TOLKIEN. A biography By Humphrey Carpenter

DOKOŃCZENIE cz. II

III T.C., B.S., etc.

Oxford... Kiedy tylko samochód wtoczył się w uliczki Oxfordu Tolkien uznał, iż tu właśnie może być po prostu szczęśliwy. To było miasto, które można było i pokochać i jednocześnie szanować, zupełne przeciwieństwo brudnego i nędznego Birmingham. Prawdę mówiąc, dla jakiegoś postronnego obserwatora Exeter, kolegium Tolkiena, mogło się wydawać mało atrakcyjne w porównaniu z innymi budynkami Uniwersytetu. Pozbawiony raczej smaku fronton budynku (dzieło George'a Gilberta Scotta) i kaplica kolegium - kiepska kopia Sainte Chapelle, były po prawdzie równie atrakcyjne, jak pseudo-gotyk edwardiańskiej szkoły w Birmingham. Tu jednak niedaleko było Fellows' Garden, gdzie srebrzyste brzozy wznosiły się ponad dachami a platany i kasztanowce zwieszały swoje gałęzie poza mur parku aż na Brasenose Lane i Radcliffe Square. Przede wszystkim jednak było to własne kolegium Tolkiena, jego dom, jego pierwszy, prawdziwy dom od czasu śmierci matki. I przy schodach u wejścia było na tabliczce wypisane jego nazwisko a po przejściu nierównych nieco schodów z szeroką, czarną poręczą wchodziło się do jego pokoi, do sypialni i skromnego lecz przyjemnego saloniku z widokiem na wąską Turl Street. To był już szczyt doskonałości.

Większość przyjętych na studia pochodziła z dobrze sytuowanych wyższych sfer (lub przynajmniej z kręgów do tych sfer zbliżonych). Było tu sporo autentycznej arystokracji. To dla zaspokojenia potrzeb tych młodych ludzi stworzono kiedyś tę uczelnię - na kontynent było dżentelmenom za daleko a i ich rodziny obawiały się złego wpływu środowisk uniwersyteckich Włoch, Francji czy Niemiec. Tu można było zapewnić im należny ich pozycji luksus i odpowiedni dozór. Wiele z tej tradycji przetrwało do czasów Tolkiena - zachował się pełen nonszalancji wystawny styl bycia, przydzielana przez uczelnię służba, oczekująca na polecenia nowoprzyjętych i tak dalej. Pomiędzy spijającymi śmietankę arystokratami i bogaczami była jednak grupa zupełnie odmienna - „ubodzy scholarze", którzy nie mieli szczęścia urodzić się w dobrej lub zamożnej rodzinie i mogli studiować jedynie dzięki pomocy stypendialnej. Pierwsza grupa studiujących nie umilała raczej życia tej drugiej - na szczęście Tolkien trafił do kolegium o tradycjach bardziej demokratycznych.

Gwaihir 35

Dobrze się też złożyło, iż wśród starszych studentów znalazła się grupa katolików, którzy odszukali go i pomogli się zaaklimatyzować. Szybko zyskiwał również nowych przyjaciół, co nie było bez wpływu na stan jego szczupłych raczej finansów. Nie było jednak łatwo żyć w sposób oszczędny wśród ludzi przyzwyczajonych do posiadania pieniędzy. zawsze rankiem „jego" służący przynosił mu do pokoju śniadanie - mogło się ono składać z samej kawy i grzanek (i wtedy mieściło się w finansowej normie, przewidzianej przez uczelnię), był jednak zwyczaj wśród studentów, iż na śniadanie zapraszało się kogoś z kolegów i wtedy już nie wypadało serwować takiego spartańskiego posiłku. Wtedy trzeba było zamówić coś bardziej konkretnego - a za to należało płacić już z własnej kieszeni. Lunch przynosił również służący (wyjaśnijmy, że przeważnie obsługiwał on kilku - zwłaszcza „ubogich" studentów) i tu raczej posiłek miał formę „demokratyczną" - składał się z chleba, sera i piwa. Obiad jadało się już wspólnie i nie był on zbyt kosztowny - ale znowu było przyjęte, iż do obiadu trzeba było zafundować przyjaciołom wino lub piwo i potem - jeżeli było się przez kogoś zaproszonym - zrewanżować się zapraszającemu w taki sam sposób (na przykład - zapraszając go wraz z jego przyjaciółmi). Słynne „battels" - oxfordzkie rachunki studentów - regulowało się każdej soboty i często mogły się one w niezbyt przyjemny sposób złożyć na już bardzo poważną sumę. A tu wypadało sprawić sobie coś z ubrania, dokupić jakiś sprzęt lub gustowny drobiazg do swego pokoju, który uczelnia wyposażała tylko w najniezbędniejszy sprzęt. Rachunki sobie rosły i rosły... Oczywiście - studenci mieli nieograniczony kredyt (to też w jakiś sposób uregulowała „tradycja"), nadchodził jednak taki moment, iż trzeba było te wszystkie rachunki uregulować. Po roku nauki Tolkien zanotował, że posiada „kilka ładnych rachunków do zapłacenia" i uwagę tę opatrzył melancholijnym komentarzem - „sprawy finansowe nie należą do wesołych...".

Ronald szybko dał się wciągnąć w wir barwnego życia

studenckiego. Grał w rugby - ale tu w Oxfordzie wyraźnie było widać, że nie będzie należał do grupy liczących się zawodników. Nie zajmował się wioślarstwem - ten rodzaj szlachetnej przyjemności leżał poza zasięgiem jego towarzysko-finansowych możliwości. Wstąpił jednak do Essay Club, do Dialectical Society, odgrywał także jakąś rolę w Stapledon, jednym z dyskusyjnych klubów wydziału. Oczywiście - założył także własny klub - nazywał się on „Apolausticks" („Poświęcający się pobłażaniu samym sobie" - a więc coś w rodzaju „towarzystwa wzajemnej adoracji", w sensie - oczywiście - intelektualnym), szybko też skupiło się wokół niego kilku studentów z pierwszego roku o podobnych zainteresowaniach. Były więc referaty, dyskusje, naukowe sympozja a także - wystawne (na miarę możliwości uczestników) i ekstrawaganckie przyjęcia. Oczywiście - było to coś „lepszego" czy bardziej „uczonego" niż dawne herbatki w szkolnej bibliotece, ożywiał to wszystko jednak duch podobny do tego, jaki ongiś panował w T. C., B. S. Najlepiej czuł to Tolkien w grupie bliskich sobie osób, można tu było prowadzić uczone rozmowy, palić (sam zaczął wtedy palić fajkę - czasem tylko robiąc ustępstwo na rzecz droższych cygar). I przebywać w gronie rówieśników o podobnych, „męskich" zainteresowaniach.

Wszelkie towarzystwa w Oxfodzie bywały z reguły „męskie". Była tu również grupa studiujących kobiet - przebywały one jednak w żeńskim kolegium i były dobrze strzeżone przed zakusami mężczyzn. Prawdę mówiąc, studenci jakoś nie narzekali, iż na co dzień pozbawieni są możliwości takich „koedukacyjnych" kontaktów. Większość z nich przyzwyczaiła się do takiego stylu bycia w swoich dawnych szkołach i akceptowała - choćby ze zwykłego snobizmu - to, iż w życiu uczelni w Oxfordzie ton nadawali mężczyźni.

Studenci posługiwali się swoistym slangiem - na śniadanie mówiło się „brekker" (ang. breakfast), na wykłady - „lekker" (zamiast „lecture") i tak dalej. Tolkien szybko przyswoił sobie ten sposób mówienia, brał także udział w przeróżnych studenckich wygłupach, wywołując nieraz na ulicach zamieszanie i bulwersując swoimi przemówieniami gromadzących się gapiów. Takie historie uchodziły studentom bezkarnie, miasto przyzwyczaiło się do „folkloru" studenckiego i traktowało młodych ludzi z dużą dozą wyrozumiałości.

Taki sposób życia - hałaśliwy, zawadiacki i pozbawiony raczej

większej subtelności był jednak bardziej rozpowszechniony wśród lepiej sytuowanych studentów, niż wśród „ubogich scholarów". Ci ostatni starali się nie brać udziału w tego typu wybrykach i - zdając sobie doskonale sprawę, że nie stać ich po prostu na studia będące tylko miłym spędzaniem czasu i wydawaniem pieniędzy - przykładali się do nauki. Tolkien był jednak naturą nazbyt towarzyską, by pozostawać długo poza nurtem ekscytujących wydarzeń, ponadto wydawało mu się, iż nie musi, tak jak inni, aż tak wiele czasu poświęcać samej nauce.

Studiował filologię klasyczną i obowiązywały go odpowiednie wykłady a także pewna przewidziana programem ilość indywidualnych konsultacji. Exeter College przez pierwsze dwa trymestry nie posiadała jednak swojego konsultanta i tak, po odrobieniu swoich podstawowych „słupków" (zajęcia prowadził E. A. Barber, dobry naukowiec i mierny jednak dydaktyk), Tolkien mógł do woli oddawać się „próżniaczemu życiu".

Teraz już mniej interesowali go greko- i łacińskojęzyczni autorzy - bardziej ekscytująca wydawała się literatura germańska. Wykłady na temat Cycerona i Demostenesa nie pociągały go, urywał się więc i w swoim pokoju oddawał się pracy nad wymyślaniem nowych języków. Znalazł jednak i w uniwersyteckim programie coś, co zaciekawiło go w szczególny sposób. I tak jako podstawę swojej edukacji wybrał językoznawstwo porównawcze i przyłączył się do grupy seminarzystów niezwykłego profesora - Josepha Wrighta.

Joe Wright pochodził z Yorkshire i był przykładem człowieka, który do tytułu profesorskiego doszedł o własnych siłach. Od szóstego roku życia pracował w foluszu przy spilśnianiu wełny, nie miał więc możliwości chodzenia do szkoły i do piętnastego roku życia zupełnie nie umiał ani czytać, ani pisać. Zazdroszcząc swoim towarzyszom pracy tego, iż potrafią oni czytać gazety - sam zaczął uczyć się liter. Nie tylko nie trwało to długo, ale zachęciło go ponadto do dalszej, systematyczniejszej nauki. Rozpoczął naukę w miejscowej „wieczorówce", uczył się francuskiego i niemieckiego a także - już na własną rękę - łaciny i matematyki. Siedział nad książkami do drugiej w nocy a już o piątej musiał wstawać do pracy. W osiemnastym roku życia mógł już sam uczyć innych. Uzbierane w ten sposób pieniądze przeznaczył po trzech latach na wyjazd do Niemiec. Przyjechał do Heidelbergu i tam studiował filologię. Dawny pomocnik folusznika uczył się teraz sanskrytu,

gockiego, starobułgarskiego (starosłowiańskiego), litewskiego, rosyjskiego, staronordyckiego, staroangielskiego, dialektów germańskich i anglosaskich dochodząc w końcu do doktoratu. Po powrocie do Anglii osiadł w Oxfordzie i został profesorem uczelni. Początkowo wynajmował niewielki domek w Norham Road. Żył skromnie a jak przystało na prawdziwego człowieka z Yorkshire - pijał piwo ze specjalnie zakupionej baryłeczki. Kiedy uznał, że piwa ubywa zbyt szybko, umówił się z Sarah, swoją gosposią, iż to ona będzie kupowała piwo na swój rachunek a on będzie płacił jej za każdy wypity kufelek. Pracował bardzo intensywnie, opublikował serię podręczników a między nimi był podręcznik gockiego, właśnie ten, który w swoim czasie tak urzekł Tolkiena. Najważniejszym dziełem Wrighta był jednak słownik dialektów angielskich, opublikowany w sześciu opasłych tomach. On sam nigdy nie pozbył się typowego dla mieszkańców Yorkshire akcentu i potrafił płynnie mówić gwarą swoich stron rodzinnych. Pracował głównie nocami. Kiedyś wynajmował dom na spółkę z Doktorem Neubarem, wykładowcą literatury hebrajskiej. Choroba oczu nie zezwalała rabiniście na pracę przy sztucznym świetle - tak więc, kiedy po zakończeniu swych prac Wright szedł spać, pukał jeszcze w ścianę, by obudzić swojego sąsiada i wołał „dzień dobry!". Obudzony Neubauer odpowiadał mu: „dobrej nocy!" i sam zasiadał przy biurku.

Wright ożenił się ze swoją uczennicą. Mieli dwoje dzieci - te jednak zmarły bardzo wcześnie. Wrightowie wiedli spokojny żywot w wybudowanym według planów Joe'go dużym domu przy Banbury Road. Tolkien zgłosił się do niego na zajęcia w 1912 roku. Bywał potem często w domu profesora, uczestniczył w słynnych „herbatkach" (były to właściwie „herbaciska" na modłę yorkshire'owską, podczas których gospodarz wmuszał wręcz w gości ogromne porcje ciasta ze śliwkami). Pies gospodarza, terrier Jack, znał kilka sztuczek i chętnie popisywał się nimi, gdy tylko jego pan wydał odpowiednie polecenie - oczywiście, w jakimś rzadkim języku.

Wright był takim nauczycielem, jakiego Tolkien potrzebował. Umiał przekazać swoją fascynację filologią z ogromnym entuzjazmem, pokazując jednocześnie, iż Tolkien, ktory zawsze uważał siebie po cichu za lepiej zorientowanego w sprawach językowych od swoich kolegów-łacinników, ma jednak jeszcze sporo do zrobienia. Jednocześnie Wright zachęcał go do podejmowania własnych badań - słysząc, iż Ronalda interesuje trochę walijski, rzekł - w

charakterystyczny zresztą dla siebie sposób: „Chłopie, bierz się za celtycki - z tego może być niezły grosz".

Tolkien skorzystał z tej rady, chociaż może akurat nie w ten sposób, jaki Wright miał na myśli. Odnalazł kilka książek w języku walijskiego średniowiecza i zabrał się do poznawania języka, którego brzmienie kiedyś w dzieciństwie tak go zafascynowało. Przypomniał sobie tajemnicze wyrazy umieszczone na wagonach z węglem, próby odczytania ich, zdziwienie z powodu ich brzmienia. Piękno - to było to, co go w walijskim najbardziej urzekło. Powiedział kiedyś, iż wiele osób lubi taki czy inny zwrot w jakimś języku - dla niego najwięcej takich właśnie zwrotów posiadał walijski. Ciekawe jednak jest to, iż swego zamiłowania do walijskiego - a podobnie było i w przypadku innych języków - nie łączył Tolkien z chęcią poznania kraju, gdzie narodził się ten język. Było to zresztą charakterystyczne dla jego postawy wobec świata - bardziej niż ziemia pociągały go teksty, które na tej ziemi pojawiły się.

Podczas studiów Tolkien powrócił do rysowania (chętnie robił szkice krajobrazów) i do kaligrafii. Delektował się możliwościami odmiennego pod względem graficznym zapisywaniem jakiegoś zdania. Było to zgodne z jego zamiłowaniami filologicznymi i artystycznymi ciągotami - jednocześnie wskazywało na skomplikowany charakter jego osobowości. Ktoś znający go dobrze rzekł: „Do każdego ze swych przyjaciół Tolkien pisał listy odmiennym charakterem pisma".

Pierwsze studenckie ferie bożonarodzeniowe (w 1911 roku) spędził Tolkien odwiedzając stare kąty i starych przyjaciół. T. C., B. S nie zawiesiło działalności po odejściu Tolkiena ze szkoły a nawet przygotowało się do największego wydarzenia w swej krótkiej historii - do wystawienia „Rywali", osiemnastowiecznej i nadal niezmiernie popularnej komedii Richarda Sheridana. R. Q. Gilson, entuzjastycznie nastawiony do całej osiemnastowiecznej twórczości, uzyskał od swego ojca zgodę na wystawienie tej sztuki. A pamiętajmy, że nigdy przedtem sztuka angielskiego dramaturga nie pojawiła się na deskach teatru szacownej szkoły edwardiańskiej - grywano tu tylko autorów antycznych. Gilson i Wiseman - nadal jeszcze uczniowie tej szkoły - dobrali obsadę sztuki wśród swoich kolegów. Kto jednak mógłby zagrać przekomiczną rolę Mrs. Malaprop, opiekunki głównej bohaterki, mylącej bez ustanku (właśnie - „mal à

propos") wszystkie możliwe trudniejsze słowa i zabiegającej wszelkimi sposobami o korzyści finansowe (w angielskim teatrze postać tam ma miejsce szczególne)? No a... Tolkien?

Było tylko jedno przedstawienie. Zanim jednak kurtyna poszła w górę, T. C., B. S. wybrało się - oczywiście w teatralnych kostiumach ukrytych początkowo pod płaszczami - do Barrowsa. Trzeba było widzieć miny obsługi herbaciarni, kiedy już na miejscu zdjęli swoje wierzchnie okrycia. Widok tych twarzy zapamiętali do końca życia.

A szkolna gazeta tak opisał ten spektakl:

„Mrs. Malaprop J.R.R. Tolkiena zasługuje na miano prawdziwej kreacji, była absolutnie doskonała w każdym calu, nie mówiąc już o samej charakteryzacji. R. Q. Gilson jako Captain Absolute był atrakcyjny i bohaterski, dźwigał brzemię swej ważnej w spektaklu roli zręcznie i z dużym wyczuciem. Jako choleryczny, stary Sir Anthony, C. L. Wiseman osiągnął szczyty możliwości. Natomiast między postaciami pomniejszej rangi na najwyższe pochwały zasłużył G. B. Smith, wykonujący trudną i niewdzięczną partię Faulklanda". Występ scementował przyjaźń Tolkiena i Smitha i ten ostatni został już teraz pełnoprawnym członkiem T. C., B. S.

Letnie wakacje 1912 roku spędził Tolkien częściowo na obozie jeździeckim (lubił konie - odstraszyła go jednak wyjątkowo paskudna pogoda i konieczność spania pod namiotami) a częściowo wędrując pieszo przez wsie i wzgórza Berkshire. I tak - zdecydowanie za szybko - przeminął pierwszy rok jego studenckiego życia.

Nie zrobił podczas tego pierwszego roku zbyt wiele, można było nawet zauważyć, iż nabrał pewnych manier próżniaka. W Birmingham często służył do mszy - tutaj jakoś niesporo było bez poganiania wstawać wcześnie rano, zwłaszcza gdy poprzedni wieczór upłynął na pogawędkach z przyjaciółmi przy kominku. A takie pogawędki - z paleniem obowiązkowej fajeczki (i nie tylko, nie tylko...) - potrafiły przeciągnąć się do późnej nocy. Tolkien zanotował, iż pierwszy okres pobytu w Oxfordzie opłynął mu raczej bez praktyk religijnych. Starał się jednak poprawić i w przeznaczonym dla Edith dzienniku skwapliwie notował wszelkie przypadki złego prowadzenia się. Ona była dla niego nadal niedoścignionym ideałem - czyż nie przysięgali sobie wiecznej miłości, czyż nie obiecywali sobie, iż kiedyś połączą się „na wieki"? Ronaldowi do momentu

osiągnięcia pełnoletności nie wolno było widywać się z nią, nie wolno było pisywać listów do niej. Pisał więc dla niej dziennik i z utęsknieniem oczekiwał wiadomego terminu. A ten ciągle wydawał się być taki odległy... Skracał więc sobie czas wydawaniem przyjęć, nocnymi pogaduszkami, nauką walijskiego i wymyślaniem nowych języków.

W tym czasie odkrył język fiński. Od chwili przeczytania „Kalevali" w angielskim przekładzie zdobył już trochę wiadomości na temat tego języka a teraz jeszcze w bibliotece kolegium odnalazł podręcznik gramatyki fińskiej. Po pewnym przygotowaniu mógł wreszcie przypuścić szturm na oryginalną wersję poematu. Powiedział później - „To było jak odkrycie piwnicy pełnej butelek najprzedniejszego wina, którego gatunek i bukiet nie były mi do tej pory znane. Oszołomiło mnie to zupełnie".

Nigdy nie nauczył się fińskiego na tyle, by zdobyć się na coś więcej, niż przeczytanie w oryginale części „Kalevali", ale nauka tego języka miała ogromne, wręcz fundamentalne znaczenie dla jego zainteresowań nowo tworzonymi językami. Zostawił na boku gocki i rozpoczął budowanie swego nowego języka, w istotny sposób ujawniającego właśnie wpływy fińskie. Z tych poszukiwań wyrośnie potem język Elfów Wysokiego Rodu - quenya. Oczywiście - nie stanie się to tak prędko - ale samo ziarno zostało już posiane. Wygłosił także odczyt na temat „Kalevali" i pomieścił w nim fragment na temat wagi odnalezionych w tym poemacie mitów. „W tych opowieściach o mitach" - mówił - „ujawnia się całe bogactwo nieskomplikowanych jeszcze zawiązków tego, co literatura europejska ukaże później już jako nikłe odbicie pełni, którą przed wiekami żyli ludzie". Dodał jeszcze - „Wiele z tego zagubiliśmy - myślę, że była tam i część należąca do Anglików". Czy myślał już wtedy o zrekonstruowaniu „własnej" mitologii Anglii?

Boże Narodzenie 1912 roku spędził z Incledonami w Bernt Green koło Birmingham. Był tu zwyczaj zabawy w domowy teatr - Ronald napisał więc sztukę, w której odegrał sam główną rolę Profesora Josepha Quiltera, M. A., B. A., A. B. C., alias światowej sławy detektywa Sextona Q. Blake-Holmesa, szpiega, szukającego w sztuce zagubionej dziedziczki, Gwendoliny Goodchild. Sztuka miała tytuł „Szpieg, Kuchmistrz i Sufrażystka". Bohaterka kochała ubogiego studenta a dużą rolę w tej teatralnej intrydze odgrywała sprawa osiągnięcia pełnoletności. Hm, skąd my to znamy...

W kilka dni po przedstawieniu Ronald wreszcie obchodził swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Na możliwość połączenia się z Edith czekał więc trzy lata. Kiedy tylko wskazówki zegara minęły północ i rozpoczął się dzień 3 stycznia 1913, dzień wejścia w dorosłe - według prawa - życie, Ronald napisał do Edith obszerny list, ponawiający uprzednie wyznania i podtrzymujący złożone kiedyś deklaracje, i zapytał: „Kiedy nadejdzie ta chwila, abyśmy mogli połączyć się w obliczu Boga i ludzi?".

W odpowiedzi Edith napisała, iż ona sama ma zamiar poślubić George'a Fielda, brata swej przyjaciółki, Molly.

Opracował Michał Błażejewski

"The Death of Cranthir" by Tom Loback

Prezent z Beyond Bree

Za zgodą autora i cyklu 91

Przeczytaliśmy dla was:
TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Company, Boston 1977.

Dorastanie.
IV. „Aby byli jedno..."

Nic teraz nie stało na przeszkodzie, aby Ronald mógł... zapomnieć o Edith. Dla osób postronnych Edith zupełnie nie istniała - nikt o niej w kręgu Ronalda nie wiedział. Jego przyjaciele, jego koledzy, nawet wujowie i ciotki, kuzyni i kuzynki - nikt, absolutnie nikt nie znał historii tego romansu. Wiedział o tym tylko Ojciec Francis - i jakkolwiek w tej chwili nie był już prawnym opiekunem chłopca, to z pewnością nie chciałby kontynuowania tej zażyłości. Ronald mógłby więc spokojnie zwrócić wszystkie listy i nie zaprzątać sobie głowy małżeństwem Edith z George'm Fieldem.

„Mógłby", „nic nie stało na przeszkodzie..."... Jak jednak pożegnać się z miłością ukrywaną przez trzy lata? Przez ten cały czas Ronald stworzył sobie obraz idealnej Edith, natchnienia swych wszystkich poczynań i nadziei, stworzył sobie idealny obraz kogoś, dla kogo warto żyć i pracować. Co mu pozostawało? Wsiadł w pociąg i wyruszył do Cheltenham z mocnym postanowieniem, iż Edith powinna zerwać zaręczyny z Fieldem i wrócić do niego, do Ronalda.

Spotkali się 8 stycznia 1913 roku na peronie w Cheltenham. Chodzili i rozmawiali, siedzieli pod kolejowym wiaduktem i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali... Pod koniec dnia Edith zgodziła się odmówić George'owi i wyjść za Tolkiena. Prawdę mówiąc, Ronald od początku był przekonany, iż dziewczyna w końcu przyzna mu rację i powie „tak". Z listów wynikało, że z George'm nie łączyły jej żadne głębsze uczucia. Zgodziła się wyjść za niego gdyż był wobec niej miły i... po prostu ona sama bała się, że na znalezienie odpowiedniego chłopca może być już za późno. W nowym środowisku nie było aż tak wielu konkurentów. A Ronald? Ronald był daleko i sama zaczynała wątpić, czy po trzech latach bardzo luźnych kontaktów zechce tę znajomość kontynuować. Kiedy jednak ponowił swoje wyznania zaraz w pierwszym „pełnoletnim" liście... I

kiedy przyjechał do Cheltenham...

Edith napisała do George'a i odesłała mu jego zaręczynowy pierścionek. Biedny chłopak! A jego rodzina! Z czasem jednak kontakty z „byłym" narzeczonym wróciły do niejakiej poprawności. Edith i Ronald nie poinformowali nikogo oficjalnie o swych zaręczynach - obawiali się trochę reakcji rodzin, a poza tym czekali na wyklarowanie się spraw dotyczących zawodowych perspektyw Ronalda.

Ronald powrócił do Oxfordu. Zawiadomił Ojca Francisa o planowanym małżeństwie. Odpowiedź kapłana nie była entuzjastyczna - niemniej jednak wydawał się on tolerować ten związek i można było nadal liczyć na finansowe wsparcie z jego strony.

Ronald zabrał się teraz solidnie do nauki. Czekały go ważne egzaminy - uczelnie brytyjskie przewidywały takie dwa progi specjalistycznych egzaminów. Ronald przygotowywał się do zdobycia takiego właśnie pierwszego stopnia. Należało złożyć pewną ilość pisemnych opracowań, dotyczących różnych dziedzin wybranego kierunku studiów. Oczywiście, wymagania nie były tu jakieś nadzwyczajne i studentom zwykle udawało się przebrnąć przez sito, niekiedy bez nadmiernego wysiłku. Ronald chciał tu jednak wypaść możliwie najlepiej - marzył o pracy naukowej i bardzo zależało mu na dobrej ocenie. Otrzymał też najwyższą ocenę za swą pracę pisemną z językoznawstwa porównawczego. Był to z pewnością w jakimś stopniu wynik wspaniałej pracy pedagogicznej Joe'go Wrighta - ale jednocześnie wielki sukces samego Ronalda. Uczelnia dostrzegła wysiłek i talent chłopca. Pewnym zaskoczeniem było może to, iż ten właśnie wyróżniający się student „wyłożył się" kiedyś przy ubieganiu się o przyjęcie na studia. Przełożony kolegium, dr Farnell, Rector of Exeter, znał językoznawcze ciągoty Ronalda i wiedział o jego zainteresowaniach językami starej Anglii i Germanii. Zaproponował więc studentowi rozważenie, czy nie byłoby dobrze przenieść się z filologii klasycznej na angielską? Ronald zgodził się i z początkiem letniego okresu nauki w 1913 roku zmienił kierunek studiów.

The Honour School of English Language and Literature była - w porównaniu z innymi szacownymi instytucjami uczelni oksfordzkiej - tworem bardzo młodym. Byli tu językoznawcy i mediewiści, którzy uważali, iż wszystko to, co powstało po Chaucerze nie może być przedmiotem uniwersyteckich dociekań. Byli tu też entuzjaści

wszelkiej literatury „moderny" (chodziło im oczywiście o teksty literackie, które powstały w okresie od Chaucera do... dziewiętnastego wieku) - ci z kolei, iż zajmowanie się wcześniejszymi okresami trąci pedanterią i dzieleniem filologicznego włosa na czworo. Można powiedzieć, iż wszelkie próby pogodzenia tych sprzecznych opinii z góry były skazane na niepowodzenie. Efekt tych sporów był w końcu taki, iż ci słuchacze, którzy wybierali specjalizację „językoznawczą" (a więc wszelkie „stare" języki i pisane w nich teksty) musieli zajmować się także i literaturą nowszą, a „literaturoznawcy" z kolei musieli wykazać się znajomością językowej „staroświecczyzny". Tak więc obie specjalizacje były wynikiem pewnego kompromisu i żadna z „frakcji" nie była w pełni usatysfakcjonowana.

Możemy się domyślać, iż dla Tolkiena wybór specjalizacji był prosty. Chciał się zająć językoznawstwem a na swego opiekuna (tutora - czyli prowadzącego jakby indywidualnych słuchaczy) wybrał Kennetha Sisama, młodego Nowozelandczyka, asystenta A. S. Napiera, profesora języka i literatury angielskiej. Po pierwszym spotkaniu z Sisamem i zapoznaniu się z programem studiów Ronald wpadł w panikę. Większość przewidywanych programem tekstów była mu już znana, a sam Sisam - małomówny i o cztery tylko lata starszy od Ronalda - zwłaszcza w porównaniu z Joe'm Wrightem nie wyglądał na kompetentnego naukowca. Okazał się jednak dokładnym i pracowitym nauczycielem, a Ronald szybko nabrał do niego szacunku i nawet polubił go. Wkrótce też przekonał się, iż będzie musiał spędzać więcej czasu przy biurku, niż przywykł to robić na filologii klasycznej. Nie były to więc tak łatwe studia, jak początkowo przewidywał. The Oxford English School stawiała wysokie wymagania. Ronald szybko dostosował się do nowych warunków i udokumentował swoją pracę kilkoma ciekawymi esejami o rozprzestrzenianiu się zmian fonetycznych, o sposobie wymawiania samogłosek w dawnej angielszczyźnie i o zawartych w niej elementach normańskich. Interesował się zwłaszcza dawnymi dialektami z zachodnich terenów środkowych hrabstw Anglii - był to częściowo wynik jego wczesnych fascynacji z dzieciństwa, a częściowo próba poszukiwania własnej dziedziny. W związku z tymi badaniami musiał sięgać do tekstów staroangielskich, a wiele z nich było dla niego zupełną nowością.

Wśród tych tekstów był „Crist" Cynewulfa, pochodzący z VIII w.

mistyczny poemat, mocno osadzony w charakterystycznych dla tamtego okresu rozważaniach o naturze Chrystusa, o Drzewie Krzyża, odkupieniu i sądzie nad grzeszną ludzkością. Dwie linijki starego tekstu kazały mu się zastanowić:

Eala Earendel engla beorthast
ofer middangeard monnum sended.

„Bądź błogosławion Earendelu, najjaśniejszy z aniołów, na świat posłany między ludzi...". „Earendel" w anglosaksońskim słowniku oznaczał „jaśniejące światło, promień", tu jednak wyraz ten nabierał innego sensu. Ronald sam interpretował to jako nawiązanie do osoby Jana Chrzciciela ale jednocześnie przypuszczał, iż tak naprawdę to „Earendel" jest nazwą Gwiazdy Porannej, Jutrzenki - czyli inaczej - nazwą planety Wenus. Był głęboko poruszony odkryciem tej informacji w tekście Cynewulfa. Piękno i tajemnica przywołane słowami dawnego języka jakby przebudziły go ze snu.

Podobnych odkryć dostarczały mu kontakty z tekstami staronorweskimi - czy inaczej: staroislandzkimi. Tolkien był już nieco oswojony z językiem - teraz przyszła kolej na systematyczną lekturę tekstów. Czytał dawne sagi i Eddy - Poetycką czyli Starszą (nie tak dawno opublikowano wybór tych tekstów w serii Biblioteki Narodowej) i Prozatorską - Młodszą.

Miano Eddy Starszej - Poetyckiej nadano zbiorowi poematów częściowo bardzo zdekompletowanych, a pochodzących, jeżeli chodzi o rękopisy, z trzynastego wieku. Wiele z tych poematów jest znacznie starszych, może nawet pochodzą z bardzo wczesnego okresu, jeszcze sprzed czasów kolonizacji Islandii (a więc sprzed IX wieku). Są tu pieśni o bohaterach i są też pieśni o bogach i początkach świata, o walce dobra ze złem i o ostatecznej bitwie, po której być może świat się odrodzi. Są to mity jeszcze przedchrześcijańskie, ukazujące świat pogański pełen grozy i tajemnic. Obrazy te oddziałały głęboko na Tolkiena.

W miesiącach następujących po zaręczynach kwestia wyznania Edith wiele razy powracała w rozmowach między młodymi ludźmi. Sprawa wydawała się prosta - ale tylko pozornie. Edith nie miała nic przeciwko przejściu na katolicyzm (a był to warunek pobłogosławienia związku przez Kościół), uważała nawet, iż jej

rodzina już kiedyś związana była z tym wyznaniem. Sama jednak była aktywną działaczką kościoła anglikańskiego i swoimi poczynaniami zyskała sobie pewien prestiż w społeczeństwie współwyznawców. Co zrobić z opinią publiczną, jak zareaguje na „papistkę" wujek Jessop, czy nadal pozwoli jej mieszkać pod swoim dachem? Myślała, że sprawę zmiany wyznania załatwi się tuż przed samym ślubem, bezboleśnie i bez rozgłosu, w ostatniej chwili. Ronald jednak domagał się deklaracji już teraz, a ponadto nie miał zbyt dobrego zdania o kościele anglikańskim. Przypominał jej historię swej własnej matki, chciał, żeby decyzja dziewczyny była jeszcze jednym dowodem miłości do niego.

Zrobiła więc tak, jak sobie tego życzył. Reakcja otoczenia była zaś dokładnie taka, jakiej się obawiała. Jessop polecił jej opuścić dom tak szybko, jak tylko znajdzie jakieś miejsce do zamieszkania. Z pomocą Jennie Grove, kuzynki, szukała więc jakiegoś pomieszczenia. Nie chciała przenosić się już teraz do Oxfordu, chciała jeszcze trochę zażyć swobodniejszego trybu życia przed ślubem. Zdecydowała się na Warwick, miasto niezbyt odległe od Birmingham, ale o wiele atrakcyjniejsze od niego.

W czerwcu 1913 Ronald przyjechał do Edith i Jennie. Warwick było urocze, pełno drzew, wzgórze, zamek... Było wyjątkowo ciepło i można było żeglować łodzią w dół Avonu. Idyllę psuło jednak to, iż wspólnie spędzone chwile ujawniły ukryte dotąd różnice charakterów i upodobań. Pisywanie do siebie listów było miłe, przebywanie ze sobą zaczynało irytować. Nie znali siebie zbyt dobrze, a ostatnie trzy lata przebywali oddzielnie. Wyrośli, dojrzeli - ale rośli i dojrzewali osobno. On przebywał w otoczeniu zdecydowanie męskim, hałaśliwym i związanym z uczelnią, ona - wśród ludzi może trochę pretensjonalnych, ale w domu. Trzeba było dostosowywać się do drobnych przyzwyczajeń partnera. On musiał nauczyć się tolerować zainteresowania dziewczyny codziennymi kłopotami i przyjemnościami niekiedy nawet trywialnego życia, ona musiała nauczyć się rozumieć jego zainteresowanie nauką i książkami. Nie osiągnęli w tej dziedzinie większych sukcesów. Dużą winę ponosiło tu narzucenie sobie przez Ronalda roli sentymentalnego kochanka, odmiennej zupełnie od tej, jaką odgrywał w środowisku kolegów z uczelni.

Po powrocie z Warwick Ronald wyjechał do Paryża jako opiekun dwóch chłopców z Meksyku. W Paryżu dołączył do nich jeszcze jeden

chłopiec i dwie ciotki, kompletnie nie znające angielskiego. Hiszpański Ronalda - a także jego francuski - narażony był na ciężkie próby. Ronald polubił Paryż - ale nigdy nie zaakceptował Francuzów. Czy było to coś w rodzaju „gallofobii"? Wyprawa do Bretanii (przewodniki obiecywały tu zetknięcie się z potomkami Celtów i ich językiem, podobnym do walijskiego) utwierdziła Ronalda w jego uprzedzeniach. Nic z poezji - brud i tłumy wycieczkowiczów. Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. Przejeżdżający samochód mocno poturbował jedną z ciotek i ta zmarła w kilka godzin po wypadku. Trzeba było zająć się ekspedycją ciała do Meksyku i całą masą różnych uciążliwych spraw. Ronald wrócił do Anglii z mocnym postanowieniem, iż nigdy więcej nie podejmie się roli opiekuna.

Jesienią 1913 roku w Oxfordzie pojawił się G. B. Smith - stary znajomy ze szkoły Króla Edwarda, a teraz stypendysta Corpus Christi College i student filologii angielskiej. Można powiedzieć, iż teraz całe T.C.B.S. było reprezentowane w Oxfordzie i Cambridge, bowiem na tej ostatniej uczelni pojawili się R. Q. Wilson i Christopher Wiseman. Czwórka przyjaciół spotykała się od czasu do czasu - ale Ronald nie wyjawił im, że jest zaręczony z Edith. Zbliżał się jednak czas przystąpienia Edith do kościoła katolickiego i w związku z rychłym już ślubem Ronald zdecydował w końcu oględnie (i to bardzo oględnie - nie podał nawet imienia narzeczonej) powiadomić przyjaciół o planowanych zmianach w swoim życiu. Obawiał się nieco reakcji przyjaciół - złożyli mu jednak zgodnie gratulacje. Gilson tylko zauważył, iż coś takiego jak dotychczasowe T.C.B.S. nieprędko się powtórzy.

Do przyjęcia nowej wiary przygotowywał Edith kapłan z Warwick, ojciec Murphy. Nie robił tego najlepiej i Ronald musiał często wstydzić się z tego powodu. Sam jednak nie uznał za konieczne wesprzeć Edith w zgłębianiu tajników wiary - uważał, iż nie będzie umiał przekazać ważnych dla niego prawd w sposób odpowiedni - jak przekazać bowiem umiłowanie pewnych zasad, skoro łączą się one w przedziwny sposób z obrazem ukochanej matki?

8 stycznia 1914 roku Edith - użyjmy tu takiego górnolotnego określenia - przyjęto na łono Kościoła rzymskokatolickiego. Datę młodzi wybrali nieprzypadkowo - była to pierwsza rocznica ich oficjalnych zaręczyn. Pierwsza spowiedź i pierwsza komunia w skromnym kościele w Warwick, dalekim od splendorów świątyni w

Cheltenham. Pierwsze próby nawiązania kontaktów z współwyznawcami. Edith znosiła to dosyć ciężko. Ranne wstawanie na mszę, spowiedź, komunia... Często wymigiwała się od tego i tłumaczyła się przed Ronaldem, iż jej stan zdrowia nie zezwala na to wszystko.

Wiodła życie dosyć nieciekawe. Pozbawiona w zasadzie towarzystwa, zajmowała się tylko i wyłącznie domem, stukając czasami w klawiaturę i żałując, iż ominie ją kariera koncertującej pianistki. Należało się liczyć z tym, iż po założeniu rodziny, po przyjściu na świat dzieci, nie będzie wiele czasu na muzykowanie. Kiedyś grywała na organach podczas nabożeństw, teraz nikt jej tego nie proponował. Czasami bywała w teatrze lub na koncertach, na częstsze wizyty nie pozwalał jej stan majątkowy. Życie płynęło więc nudnawo, Ronald przyjeżdżał rzadko, a wizyty te tylko ich irytowały. No i trzeba było znosić te długie listy Ronalda, pełne opisów uniwersyteckich atrakcji, przyjęć, robionych kawałów, relacji z wizyt w kinematografie...

Ronald tymczasem stał się „światowcem". Kupił kilka japońskich sztychów i trochę mebli do swego pokoju w Oxfordzie. Zamówił także dwa szyte na miarę garnitury i odkrył, iż leżą one na nim świetnie. Wraz z Colinem Cullisem zainicjował działalność nowego klubu - „The Chequers" (Chequers to nie tylko szachownica czy deseń lub tarcza herbowa w kratkę - to także nazwa wypoczynkowej rezydencji premierów Wielkiej Brytanii). Wydawali przyjęcia w sobotnie wieczory w pokoju Cullisa lub Ronalda. Wybrano go także prezydentem klubu dyskusyjnego w kolegium, co dawało mu okazję żywszego udziału w życiu uczelni. Wiosłował, grał w tenisa, udzielał się na prawo i na lewo, przysparzając chwały sobie i swemu kolegium. Uzyskane z jakiejś nagrody pieniądze przeznaczył oczywiście na książki o średniowiecznej Walii i na prace Williama Morrisa - „Życie i śmierć Jazona", przekład - także Morrisa - „Völsungasaga" i inne tegoż autora.

Morris studiował kiedyś w Exeter College i najprawdopodobniej już to zwróciło uwagę Tolkiena na jego teksty. Nie znał ich przedtem, w ogóle jego wiedza o nowszej literaturze nie była nazbyt rozległa. Teksty starsze pociągały go bardziej, rzeczy nowsze - mniej. Swego czasu zwierzył się narzeczonej, iż rzadko czyta jakieś literackie nowości. Dla niego literatura kończyła się na Chaucerze.

Książki Morrisa zafascynowały go, odnalazł w nich nieobcą sobie

chęć ożywienia starych, jeszcze przedrzymskich mitów. „Ród Wolfingów", pisane częściowo prozą, częściowo wierszem dzieje dawnego plemienia, podziałały na młodego czytelnika bardzo inspirująco. W swoich własnych tekstach będzie starał się dorównać morrisowskiej precyzji w tworzeniu poetyckich światów. Nazwa Mrocznej Puszczy przywędrowała do tolkienowskiego Śródziemia ze starogermańskich legend właśnie za pośrednictwem tekstów Moriisa.

Poświęćmy temu twórcy chwilę uwagi. Żył w latach 1834 – 1896. Należał do Bractwa Prerafaelitów i razem z Rosettim i Ruskinem poszukiwał dróg odnowy piękna. Był – jak i jego przyjaciele – człowiekiem-artystą wszechstronnym – poetą, prozaikiem, tłumaczem, artystą plastykiem. Dla niego jednak sztuka winna była znaleźć swoje miejsce w codziennym życiu, szukał w estetyce źródeł społecznych przemian, starał się wyprowadzić z działań artystycznych zasady gwarantujące poprawę całego świata. Został socjalistą „poprzez swoją wiarę w misję sztuki rzetelnie demokratycznej" jak napisał o nim Przemysław Mroczkowski. Barwny świat średniowiecza interesował go od najmłodszych lat – w wieku czterech lat czytał powieści Waltera Scotta i w dziecinnej zbroi odgrywał własne opowieści o dzielnych bohaterach. Opisze to później w „Wieściach znikąd" (1891). Studiował, jak już pisaliśmy, w Oxfordzie – zajmował się literaturą, malarstwem, myślał o zostaniu duchownym. Pisał utwory poetyckie (debiutancki zbiór liryków o tematyce średniowiecznej „Obrona Ginewry" z 1858), stworzył obszerny cykl 24 opowieści epickich „Raj ziemski" (1868-1870), odwołujący się do wątków antycznych i średniowiecznych. Tłumaczył i opracowywał sagi skandynawskie a także pisał utopijne powieści socjalistyczne. Zajmował się też działalnością wydawniczą, założył wzorową drukarnię Kelmscott Press, a wydane tam książki zachwycają swoją wyjątkowo piękną szatą graficzną. Pod koniec życia odsunął się od czynnego propagowania idei społecznych. Pisano, iż „miał umysł o najpełniejszej prostocie, połączonej z nieufnością wobec ludzi o błyskotliwej inteligencji". Jego wpływ – wszechstronny – jest do dziś widoczny w działaniach wielu osób.

Latem 1914 roku Ronald wyrusza na wycieczkę do Kornwalii – towarzyszy mu ojciec Vincent Reade z Oratorium w Birmingham. Zdaje dokładne relacje z tej wyprawy narzeczonej – możemy się domyślać, co czuła, czytając strony pełne zachwytu nad widokami odwiedzanych

miejsc. Kornwalia dla Ronalda stała się takim „idealnym pejzażem". Ślady tego odnajdujemy w opisach znajdujących się w opowieściach o Śródziemiu.

Pod koniec wakacji Ronald odwiedza ciotkę Jane, brata Hilarego i rodzinę Brookes-Smithów na ich farmie w Nottinghamshire. I tu pisze poemat, którego inspiracji doszukać możemy się we wspomnianych już linijkach cynewulfowego „Chrystusa" - „Eala Earendel engla beorthast...". Tolkienowski poemat jest jednak dziełem oryginalnym, a dla nas ważnym niezmiernie. W „Podróży Earendela Gwiazdy Wieczornej" Ronald zaczyna tworzyć bowiem podstawy swojej własnej mitologii. Opisuje żeglowanie gwiezdnego statku i czyni to w sposób bardzo ciekawy. Swobodnie włada materią mitologiczną, kreuje ją według własnej woli i nadaje jej ciekawy kształt poetycki:

Earendel wzniósł się z głębi Oceanu
i w mrocznym kręgu ziemi się ukazał;
Przez wrota Nocy niczym jasny promień,
Ponad obrzeżem rosnącego cienia
Statek wyprawił jak srebrzysty okruch.
Od złotych piasków gasnącego Dnia
Odbił i razem z płomienistym tchnieniem
Opuścił brzegi Zachodniego Świata.

- - - - -

W tym czasie Anglia przystąpiła do wojny z Niemcami. Był bowiem rok 1914 i tysiące młodych ludzi zaciągało się do wojska. Ronald - wbrew oczekiwaniom swoich krewnych (jego brat Hilary właśnie zaciągnął się jako trębacz) - postanowił wrócić na uczelnię i kontynuować studia.

Czuł się jednak fatalnie - wszyscy znajomi wybierali się na wojnę. W końcu zdobył gdzieś informację, że można przygotowywać się do służby wojskowej i jednocześnie nadal studiować. W takim wypadku powołanie do służby czynnej mogło nastąpić dopiero po zakończeniu nauki. Ronald zgodził się na to i od razu życie nabrało innego blasku. Razem z Cullisem (ten nie wybierał się na wojnę z powodu słabego zdrowia) przenieśli się na stancję poza uczelnią. G. B. Smith był jeszcze w Oxfordzie. Oczekiwał na

przydział do oddziału strzelców z Lancashire i Ronald koniecznie chciał być z nim w jednym regimencie a nawet - o ile się uda - w tym samym batalionie.

Z początkiem roku akademickiego Ronald podjął szkolenie wojskowe. Takie „podwójne życie" - studenta i żołnierza - zaczynało mu odpowiadać. Jednocześnie siadł do pierwszych prób stworzenia czegoś na wzór morrisowskich opowieści. Zaczął pisać „Opowieść o Kullervo" i korzystał przy tym z wątków zaczerpniętych z „Kalevali". To było coś więcej niż tylko pastisz morrisowskiego stylu - to była jego pierwsza próba opracowania legend w postaci wierszowanej i prozatorskiej. Nie ukończył tego jednak.

Bożonarodzeniowe ferie 1914 całe T.C.B.S. spędziło w domu rodziny Wisemana w Wandsworth. Tolkien, Wiseman, Gilson i Smith cały weekend przesiedzieli przy kominku w niewielkim saloniku paląc fajki i gadając bez przerwy. Razem czuli się czterokroć mądrzejsi i ważniejsi. Było coś zadziwiającego w ich wymianie korespondencji i w przygotowaniach tego wspólnego pobytu. Wydawało się, iż chcieli jakby coś w ten sposób ocalić. Ronald porównał kiedyś tę żarliwą przyjaźń do uczuć łączących Prerafaelitów. Wykpili go jednak - uważali sami, że przeznaczona jest im realizacja zupełnie nowych idei. Może były to tylko przechwałki ostatnich dni młodzieńczego okresu - Tolkien jednak z tych wspólnych marzeń wysnuł dla siebie bardzo ważną i konkretną myśl - postanowił poświęcić się dla poezji. To spotkanie T.C.B.S. pod koniec 1914 roku pomogło mu - jak to po latach tłumaczył - znaleźć słowa dla powstrzymywanych dotąd uczuć. Do końca życia uważał się za dłużnika chwil spędzonych wtedy z przyjaciółmi.

Jego pierwsze świadome poetyckie próby nie należały do specjalnie udanych. Można powiedzieć, że jako poeta nie starał się być oszczędnym w słowach. Oto kilka linijek jego „Pieśni Morza z Dawnych Dni", napisanej w grudniu 1914, a korzystającej obficie z wrażeń wakacyjnej wędrówki po Kornwalii.

W mglistych i niebezpiecznych stronach, gdzie wiodą szlaki
dzikich burz,
Ludzkiego głosu nikły dźwięk do uszu nie dochodził mych;
Tam, u zarania przyszłych dni siadłem, gdzie rumowiska brzeg.
Z otchłani wyjącego morza, przy wtórze ryku, w bryzgach pian,
Zwielokrotniony głębin głos układał nieskończoną pieśń,

Hufce wieczności szły na brzeg i szturmem brały go eony
Druzgocąc mury, blanki wież i krypt grobowych drążąc loch...

Tolkien pokazał swoją pisaninę Wisemanowi, a przyjaciel zauważył, iż przypomina to wszystko uwagi, jakie poczynił kiedyś Symons na marginesie utworów Mereditha. Otóż porównał on Mereditha do damy, która już od samego ranka paraduje ustrojona w całą swoją biżuterię... Poradził więc Tolkienowi, aby nie robił tego błędu.

Bardziej powściągliwym okazał się Tolkien w poetyckich opisach uczuć łączących go z Edith:

Spójrzcie - byliśmy młodzi tak a już -
jak świeżo posadzony kwiat Słońce
Miłości grzało nas (zaczarowane drzewa dwa
nie bacząc, czy cienisty las, czy pól otwartych wokół świat,
splecione z sobą tak chcą stać
w słońcu i blasku - byle razem),
byliśmy jedno - w glebę Życia
mocno wrośnięci, karmiąc się
tym, co słodkiego mogła dać.

Pośród pisanych wtedy poematów znalazł się i ten, który później umieszczony został w „Przygodach Toma Bombadila" - „Z księżyca człek zbyt wcześnie spadł". Tematyka baśniowego świata pojawiła się w „Stópkach chochlików" (Goblin Feet), utworze napisanym po to, by sprawić przyjemność Edith, uwielbiającej „wiosnę, kwiaty, drzewa i maciupeńkie elfy". W wierszu tym jest akurat to, co Tolkien bardzo szybko i z całego serca znienawidził. Widać jednak, iż przyłożył się do nadania mu wyszukanej formy, utwór ukazał się potem drukiem w Oxfordzie w 1915 roku i wielokrotnie wznawiano go i w innych antologiach. Co tu ukrywać - stał się pierwszą znaczącą publikacją Ronalda:

Wzdłuż ścieżki lśnią małe lampiony,
Nietoperz kołuje zdumiony
A ja w drogę ruszam o zmroku.
Wśród krzaków, wśród płotów, wśród trawy
Cień jakiś się wije szarawy,
Coś szepce i znika gdzieś z boku.

W powietrzu jest pełno chichotów,
Niezdarnych, owadzich trzepotów
I brzęczeń, furkotań, okrzyków.
Głos rożków rozlega się nocą,
W krąg drobne nóżęta tupocą,
Tysiące nadciąga chochlików.

Światełka, iskierki, dzwoneczki,
Leciutkie szelesty sukienek,
Tańczące, szczęśliwe stopeczki
I drżących blask latarenek...

Smith przeczytał wiersze Tolkiena i powiedział, co o nich sądzi Zachęcał do dalszych prób, uważał jednak, iż autorowi dobrze zrobi zapoznanie się z „nowoczesnymi" - według mniemań Ronalda - autorami. Polecał więc sir Thomasa Browne'a, sir Philipa Sidneya, radził sięgnąć do Bacona a także zainteresować się nowymi utworami Ruperta Brooke'a. Tolkien nie poświęcił tym radom większej uwagi, sądził, że sam wybrał wobie wystarczająco dobrą drogę i nie potrzebował żadnych wskazówek.

Szybko zauważył, iż nie sprawia mu zadowolenia pisanie luźnych wierszy na oderwane od siebie, okazjonalne tematy. Z początkiem 1915 powrócił więc do strof o Earendelu i postanowił wyprowadzić z nich jakąś większą opowieść. Pokazał te próby Smithowi - ten odrzekł, iż mu się podobają, chciał jednak wiedzieć, o co w tej całej historii jednak chodzi. „Nie wiem" - odpowiedział Tolkien - „ale postaram się dowiedzieć". A więc - nie „wymyślić", a „dowiedzieć się", „poznać". Tolkien nie uważał się za tego, kto sam wymyśla opowiadaną przez siebie historię. Sądził, że jest tylko kimś, kto odkrył coś już istniejącego i teraz tylko dzieli się z innymi swoim odkryciem. Było więc z tymi opowieściami tak, jak z jego wszystkimi „prywatnymi" językami.

W 1915 roku inspirowana językiem fińskim mowa osiągnęła już stan na tyle doskonały, iż Tolkien mógł napisać w tym nowym języku kilka poetyckich tekstów. Czuł jednak - sam nazywał to dość zwariowanym pomysłem - iż nie ma racji bytu język pozbawiony istot, które mogłyby się nim w naturalny sposób posługiwać. Język już był - teraz należało tylko „odkryć", „dowiedzieć się", do kogo

on należał.

W rozmowach z Edith określał to jako „moją nonsensowną czarodziejską mowę". Zachował się fragment poematu napisanego w tym języku. Tekst nosi daty - listopad 1915, marzec 1916. Tłumaczenie zaginęło, ale takie słowa jak „Lasselanta" („pora opadania liści" - jesień) czy „Eldamar" (siedziba elfów na Zachodzie) będziemy mogli odnaleźć u Tolkiena i gdzie indziej:

Ai lintulinda Lasselanta
Pilingeve suyer nalla ganta
Kuluvi ya karnevalinar
V'ematte singi Eldamar.

W 1915 roku problem właścicieli języka został nieco wyjaśniony. Tolkien uznał, iż mogły to być czarodziejskie istoty czy też elfy, które mógł widzieć Earendel podczas swojej wyprawy. Zaczął więc pisać „Pieśń o Earendelu" - opowieść o żeglugach bohatera zanim jeszcze jego statek stał się gwiazdą. Pieśń dzieliła się na kilka części a pierwsza z nich, „Brzegi czarodziejskich lądów", opowiadała o Valinorze, tajemniczym lądzie, gdzie rosły Dwa Drzewa, jedno ze złotymi owocami a drugie - ze srebrzystymi. Do tej krainy przybywał właśnie Earendel.

Opowieść ta nie ma może zbyt wielkiego związku z ukształtowaną później mitologią tolkienowską, zawiera już jednak elementy, które pojawiają się kiedyś w „Silmarillionie" i warto zwrócić na nią uwagę, gdyż rejestuje jakby to, co w tym okresie zaczynało tworzyć się w wyobraźni autora. Tak więc wyglądała ta najwcześniejsza wizja:

Na zachód od Miesiąca, od Słońca zaś na wschód
Wzgórze samotne stało
Z bladozielonych Wód pod niebo wznosząc aż
Swój biały, cichy szczyt:
Za Taniquetil hen,
Tam, gdzie Valinor jest.
I nie świeciła tu żadna z rozlicznych gwiazd
Prócz jednej, co samotnie z Miesiącem szła na łów.
Dwa Drzewa rosły tu,
Na jednym - Nocy srebrny kwiat,

Na drugim - Słońca owoc lśnił
Tam, gdzie Valinor jest.
To Czarodziejskich Krain brzeg,
Tu księżycowy piasek plaż,
Tutaj muzyka srebrnych pian,
Tu migotliwe morza dno,
Tu chybotliwy wody cień
U brzegów, które ciągną się
Z najdalszych dali aż gdzieś tam,
Gdzie wznosi się złocisty Kôr -
Za Taniquetil hen,
Tam, gdzie Valinor jest.

Na zachód od Miesiąca, od Słońca zaś na wschód
Tam leży Przystań Gwiazdy,
Wędrowca biały gród,
I skały Eglamaru:
Tu wpływa Uskrzydlony,
Gdy pragnie Earendel
Wzrokiem ogarnąć cud
Co rozpościera się
Stąd aż po Eglamar,
Za Taniquetil hen,
Tam, gdzie Valinor jest.

W tym samym czasie, kiedy Tolkien kładł podwaliny pod swoją przyszłą mitologię, należało ostatecznie rozliczyć się ze studiami - egzaminy końcowe w czerwcu 1915 roku wypadły pomyślnie i tryumfujący Ronald otrzymał pierwszy stopień naukowej specjalizacji.

Właściwie miał już teraz zapewnione miejsce pracy na uczelni - ale to dopiero po zakończeniu wojny. Teraz trzeba było zgłosić się w charakterze podporucznika do jednostki strzelców z Lancashire. Przydzielono go nie tak, jak sobie wymarzył - zamiast do 19 batalionu, gdzie służył Smith, trafił do batalionu nr 13. Ćwiczenia rozpoczęły się w lipcu. Zakwaterowano go wraz z innymi oficerami w Bedford. Uczył się komenderować plutonem i uczestniczył w wojskowych wykładach. Do spółki z kolegami kupił motor i podczas weekendów jeździł odwiedzić Edith w Warwick.

Zapuścił wąsy. Właściwie wyglądał i zachowywał się tak, jak inni młodzi wojskowi.

W sierpniu przeniesiono ich do Staffordshire i przez parę tygodni wędrowali z obozu do obozu, oswajając się z warunkami wojennymi. Warunki były nienadzwyczajne - czas, który pozostawał po zajęciach można było od biedy przeznaczyć na grę w brydża (co lubił) lub na słuchanie ragtime'ów z płyt (czego nie lubił). Nie przejmował się zbytnio kolegami. „Wśród przełożonych" - opowiadał Edith - „nie uświadczysz dżentelmena. Prawdę mówiąc, rzadko można spotkać kogoś przypominającego człowieka". Udało mu się poświęcić trochę czasu językoznawstwu, zakładał, iż nie wolno mu odzwyczaić się od uniwersyteckiej praktyki, czas jednak płynął i płynął powoli. „Te szare dni - pisał - marnowane na bezustanne marsze, ponure rozmowy, ten tępy zapał w uczeniu nas sztuki zabijania, nie, tego nie można znieść..."

Z początkiem 1916 postanowił specjalizować się w sygnalizacji wojskowej. Praca z szyframi, kodami i komunikatami wydawała mu się ciekawsza niż harówka w polu i odpowiedzialność za podległy mu pluton. Uczył się więc kodu Morse'a, kodu flagowego, wkuwał znaczenie tarcz sygnalizacyjnych, przekazywania komunikatów światłem, rakietami sygnalizacyjnymi, polowym telefonem czy poprzez pocztowe gołębie (czasami używano ich na polu walki). W końcu został oficerem sygnalizacyjnym batalionu.

Zbliżał się czas przerzucenia ich oddziału do Francji i narzeczeni postanowili pobrać się jak najszybciej. On miał przecież dwadzieścia cztery lata, ona dwadzieścia siedem, coraz dłuższe listy poległych żołnierzy uświadamiały im poza tym, że również i Ronald może nie wrócić z wojny. Nie mieli zbyt dużo pieniędzy, on otrzymywał jednak regularny żołd, miał też nadzieję, że Ojciec Francis pozwoli mu teraz samodzielnie zarządzać majątkiem po matce. Spodziewał się także dochodów z racji swej literackiej działalności. Wiersz o chochlikach miał się ukazać w „Oxford Poetry" i zachęcony tym Tolkien wysłał zbiór swoich rymów do wydawnictwa Sidgwick and Jackson. No i żeby powiększyć swój kapitał - sprzedał udział we wspólnym motorze.

Wyruszył do Birmingham. Chciał porozmawiać z Ojcem Francisem o sprawach majątkowych i poinformować go, iż ma zamiar poślubić Edith. Przypomniał sobie jednak sprzeciw, jaki wywołało u opiekuna jego młodzieńcze „chodzenie" z Edith i opuścił Oratorium nie

mówiąc kapłanowi ani słowa o planowanym ślubie. Dwa tygodnie przed ślubem zdobył się wreszcie na list. Odpowiedź księdza była pełna życzliwości - nie tylko dał im swoje błogosławieństwo, ale zaproponował, iż sam poprowadzi ślubną ceremonię w kościele Oratorium. Było jednak za późno - okoliczności złożyły się tak, że ślub musiał odbyć się w katolickiej świątyni w Warwick.

Uroczystość odbyła się w środę 22 marca 1916 roku, tuż po porannej mszy. Ślubu udzielił Ojciec Murphy. Młodzi wybrali środę, gdyż był to dzień ich zaręczyn w 1913 roku. Podczas uroczystości miał miejsce jeden niefortunny incydent - Edith musiała wpisać do księgi parafialnej swoje dokładne dane i podać imię swojego ojca. Nigdy przecież nie wspominała Ronaldowi, iż jest dzieckiem nieślubnym. Przerażona wpisała więc imię swego wuja, Fredericka Bratta, rubrykę z informacją o jego pochodzeniu zostawiając pustą. W końcu wyznała Ronaldowi prawdę. „Kocham cię teraz bardziej ponieważ stałaś się moją żoną." - odpisał jej. „Starajmy się zapomnieć o tym wydarzeniu i bardziej ufać Bogu". Po ślubie wyruszyli na tydzień do Clevedon w hrabstwie Somerset. W przedziale pociągu wspólnie kaligrafowali na odwrocie gratulacyjnych telegramów różne wersje nowego podpisu Edith: Edith Mary Tolkien..., Edith Tolkien..., Pani Tolkien... Wyglądało to wspaniale.

opracował Michał Błażejewski

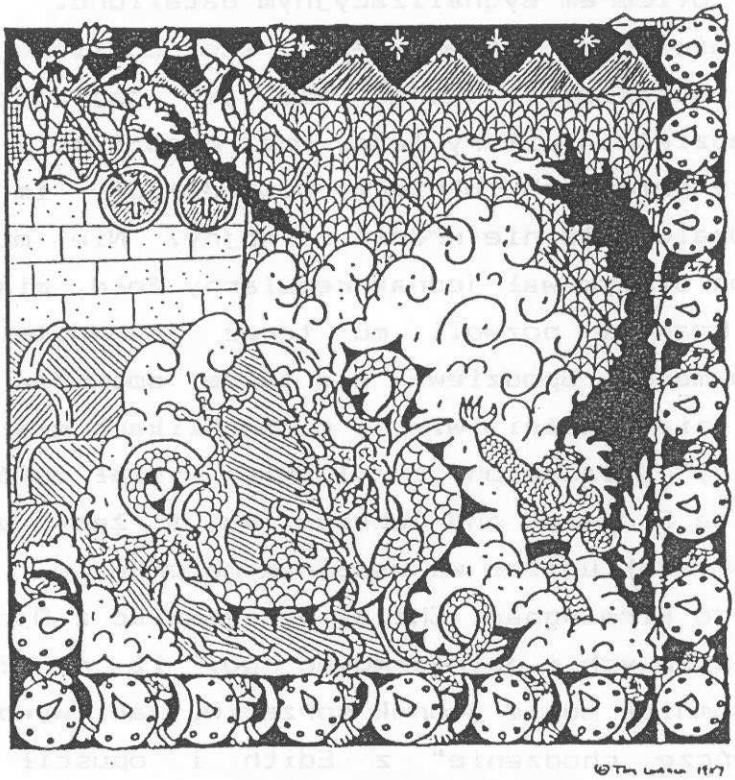

MS
TOLKIEN

Przeczytaliśmy dla was:
TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Company, Boston 1977.

V. Przyjaźń nie umiera

Na powracającego z miodowego miesiąca Toliena oczekiwał już list z firmy Sidgwick and Jackson. I chociaż Ronald niezbyt liczył na publikację swoich wierszy to negatywna odpowiedź obu panów wyraźnie go rozczarowała. Edith tymczasem powróciła do Warwick i zabrała się do likwidowania swoich spraw w tym mieście. Oboje postanowili, że Edith przez cały czas wojny będzie starała się mieszkać w wynajętych pokojach możliwie najbliżej miejsca zakwaterowanie Ronalda. Był tu i katoliki kościół i życzliwy ksiądz a także - dobra kwatera dla samego Ronalda. Tuż po przyjeździe żony Ronlad otrzymał jednak rozkaz wyjazdu i 4 czerwca 1916 roku wieczorem wysłano go do Londynu a potem - do Francji.

Wszyscy spodziewali się decydujących zmian na froncie. Wojenne działania już dosyć długo nie przynosiły wyraźnych efektów strategicznych a wydarzenia pod Ypres i Verdun przesunęły linię frontu jedynie o parę mil. Teraz jednak z setek tysięcy nowych rekrutów tworzono pośpiesznie nową armię - było więc jasne, iż wreszcie coś się musi rozstrzygnąć.

Tolkien przybył do Calais 6 czerwca i zaraz przeniesiono go do Étaples. W tej podróży zaginął cały wojskowy rynsztunek Ronalda - zgromadzony z dużym wysiłkiem i niemałymi kosztami ekwipunek należało odtworzyć, trzeba było prosić, pożyczać, kupować...

Dni mijały i nic się nie działo. Nerwowe podniecenie z czasu przerzutu przez kanał zmieniło się w męczącą nudę, pogarszaną jeszcze ogarniającym wszystkich brakiem zainteresowania co do dalszych losów. Tolkien pisał wiersz o Anglii, brał udział w musztrze i nasłuchiwał krzyków unoszących się stale nad głowami mew. Wraz z kolegami został przydzielony do 11 Batalionu i znalazł się wśród ludzi o nieco podobnej do jego własnej sytuacji. Większość młodszych oficerów rekrutowała się spośród rówolatków Ronalda, niektórzy byli nawet młodsi; starsi natomiast oficerowie i ich adiutanci nie imponowali błyskotliwą inteligencją i w niekończących się rozmowach wspominali swój pobyt w Indiach czy

walki z Burami. Starzy wojacy traktowali młodszych jak uczniaków ze szkoły i starali się nie przepuścić okazji, żeby wytknąć im najmniejsze uchybienie. Więcej szacunku miał Ronald dla zwykłych ludzi, szeregowych żołnierzy batalionu. Część z nich pochodziła z Południowej Walii, najwięcej jednak - z Lancashire. Oczywiście - konwenans społeczny i regulamin wojskowy nie dopuszczał możliwości przyjaźnienia się członków kadry z szeregowcami, istniała jednak instytucja ordynansa, służącego przydzielanego każdemu z oficerów, dbającego o jego ekwipunek i o niego samego, mniej więcej tak, jak służący w Oxfordzie dbał o „swoich" studentów. W ten sposób Tolkien miał okazję poznania kilku żołnierzy całikiem dobrze. W wiele lat później wypowiadając się na temat jednej z ważniejszych postaci „Władcy pierścieni" zauważył: „Mój Sam Gamgee jest rzeczywiście odbiciem takiego brytyjskiego żołnierza, kogoś spomiędzy ordynansów i szeregowców, jakich poznałem w czasie wojny 1914 roku i jakich uważałem za dużo lepszych od siebie".

Po trzech tygodniach w Étaples batalion wysłano na linię frontu. Podróż koleją dłużyła cię niemożliwie, przerywana niezliczonymi postojami i dłużej niż dobę trwało, zanim opuścili niczym specjalnym się nie wyróżniający pezjaż Pas de Calais i wjechali w bardziej pofałdowane regiony, a wzdłuż linii kolejowej pojawiła się rzeka o uregulowanym biegu i brzegach obsadzonych topolami. To była Somma. I tu już było wyraźnie słychać kanonadę.

Batalion Tolkiena wyładowani w Amiens, wydano im żywność na rynku miasta a następnie wyprowadzono poza nie - maszerowali więc obładowani ekwipunkiem, schodząc z szosy lub zatrzymując się, gdy trzeba było przepuścić konne transporty amunicji lub ciężką artylerię. Po obu stronach prostej drogi pomiędzy budynkami widziało się pola szkarłatnych maków i żółtej gorczycy. Kiedy deszcz lunął strumieniami zakurzona droga momentalnie zamieniła się w kredowobiałą bryję. Batalion maszerował dalej, mokną i przeklinając, aż dotarli do małej wioski Rubempré, położonej jakieś dziesięć mil od Amiens. Tu zostali rozkwaterowani na noc w warunkach do jakich wkrótce wszyscy musieli się przyzwyczaić: żołnierze na słomie w stodołach i szopach a oficerowie w domach na farmach. Zabudowania były wiekowe i solidne, miały popaczone od starości belkowania i bielone ściany. Wokół domów - aż po odległy horyzont, mokły w deszczu pola kukurydzy. Nie było ucieczki od wojny - była obecna w pozrywanych dachach, ruinach domów, w

nieustannym hałasie dział, ostrzeliwujących niemieckie pozycje.

Zostali w Rubempré przez następny dzień, intensywnie ćwicząc zwłaszcza walkę na bagnety. W piątek, 30 czerwca, przeniesiono ich do innej wioski, położonej bliżej linii frontu. Atak rozpoczął się nazajutrz z samego rana. Nie brali w nim udziału, mieli włączyć się do walki dopiero kilka dni później - dowodzący planowali przerwanie linii wroga i wejście w głąb zajmowanych przez niego terenów. Do tego jednak nie doszło.

W sobotę 1 lipca o godzinie 7^{30} oddziały brytyjskie ruszyły do ataku z okopów. Rob Gilson z T.C.B.S., służący w regimencie Suffolk, był wśród idących do ataku. Wyszli po drabinach z transzei i - tak jak ich uczono - rozwinęli się w tyralierę, pokonując otwartą przestrzeń bardzo wolnym marszem... Wolnym, gdyż

MS
A. JAGIELLOWICZ
- KOSCIUSZKO

każdy z nich dźwigał na plecach sześćdziesiąt pięć funtów wyposażenia. Powiedziano im, że obrona niemiecka została już zupełnie zlikwidowana a zasieki z drutu kolczastego zniszczono ogniem zaporowym. Teraz jednak mogli zobaczyć, że zasieki nie były zniszczone, a do nadchodzących żołnierzy w dogodnym dla siebie momencie Niemcy mogli otworzyć ogień karabinów maszynowych.

MS M. PUDLIK

Batalion Tolkiena pozostał w rezerwie, przeniósł się do wioski zwanej Bouzincourt, gdzie większość biwakowała pod gołym niebem a kilku szczęściarzy (w tym Tolkien) spała w barakach. Wyraźnie było już widać, że ofensywa nie przebiega zgodnie z wcześniejszymi planami. Setki rannych, często niesamowicie zmasakrowanych, całe oddziały odkomenderowane do pogrzebania poległych, ponury zapach rozkładających się ciał... Pierwszego dnia walki zginęło dwadzieścia tysięcy żołnierzy wojsk sprzymierzonych - taka była prawda. Niemiecka obrona nie została zlikwidowana, zasieki stały nadal prawie nienaruszone a nieprzyjacielska broń metodycznie kosiła Brytyjczyków i Francuzów, ustawiających się linia za linią jak na gigantycznej strzelnicy, padających, żeby zrobić miejsce następnym i następnym...

W czwartek 6 lipca 11 Batalion Strzelców z Lancashire ruszył do akcji, ale do okopów posłano tylko kompanię „A". Oddział Tolkiena pozostał w Bouzincourt w odwodzie. Jeszcze raz zabrał się za czytanie listów od Edith i całej kolekcji notatek przesyłanych prze kolegów z T.C.B.S. Ronald martwił się o Gilsona i Smitha, obaj bowiem byli w centrum walk. Trudno było sobie wyobrazić jego radość, kiedy pod koniec dnia cały i zdrowy przybył do Bouzincourt G. B. Smith. Przez kilka dni wypoczynku przed powrotem na front mogli spotykać się i mówić o wierszach, o wojnie, o przyszłości. Chodzili wśród łanów kwitnących maków, które chwiały się na wietrze jakby na przekór bitwie, zmieniającej okolicę w pozbawione nadziei błotniste pustkowie. Z niepokojem oczekiwali na wiadomość od Roba Gilsona. W niedzielę w nocy powróciła z okopów kompania „A"; dwunastu żołnierzy zginęło, ponad stu było rannych, a wszyscy opowiadali straszne rzeczy. W piątek, 14 lipca, przyszła wreszcie kolej na Tolkiena i na jego kompanię „B". Wyruszyli.

Tolkien doświadczył teraz tego, co było udziałem tysięcy innych żołnierzy: długi nocny marsz do okopów, ponad mila trasy komunikacyjnej w bezpośredniej bliskości z linią ognia, godziny bałaganu i irytacji podczas przejmowania obowiązków po poprzednikach. Dla oficerów-łącznościowców takich jak Tolkien konfrontacja wyniesionej z ćwiczeń wiedzy z obrazem plątaniny pozrywanych i sztukowanych przewodów, zepsutych aparatów telefonicznych i wszechogarniającego błota miała bardzo gorzki smak. Najgorszy był jednak zakaz posługiwania się kablami do przekazywania informacji - Niemcy podłączali się do sieci brytyjskiej i przechwytywali wszelkie wiadomości.

ms R DERDZIŃSKI

Trzeba było odrzucić kody Morse'a i wrócić do kodów świetlnych, do sygnalizacyjnych chorągiewek a wreszcie - do łączników i pocztowych gołębi. I ci polegli, których ciała zalegały wszędzie. Porozrywani pociskami, z szeroko otwartymi oczami. Ziemia niczyja pomiędzy liniami okopów była zasłana rozdętymi i rozkładającymi się zwłokami. Wszystko wokół było obrazem jednego wielkiego zniszczenia. Trawa i kukurydza stały się morzem błota. Drzewa, pozbawione liści i gałęzi, przypominały okaleczone kadłuby. Tolkien nazywał to „zwierzęcym przerażeniem" i nigdy tego nie zapomniał.

Pierwszy dzień udziału Tolkiena w bezpośrednich walkach był przez dowództwo sprzymierzonych zaplanowany jako pierwszy dzień głównej ofensywy. Atak się nie udał, zapory wroga nie zostały zniszczone i wielu żołnierzy z kompanii Tolkiena poległo dostawszy się pod ogień karabinów maszynowych. Jemu samemu udało się uniknąć obrażeń i po dwóch dniach nieprzerwanego pobytu w okopach mógł wreszcie wyspać się w ziemiance. Następnego dnia wycofano ich do Bouzincourt i tu na Ronalda czekał już list od G. B. Smitha:

15 lipca 1916 r.

Drogi Johnie Ronaldzie,

w porannej prasie wyczytałem, że Rob został zabity.

Ja sam jestem bezpieczny, jakie to jednak ma znaczenie?

Proszę, nie zostawiajcie mnie. Jestem już zmęczony tymi wszystkimi złymi wiadomościami.

Teraz dopiero widać, czym było T.C.B.S.

Drogi Johnie Ronaldzie, co stanie się z nami?

Na zawsze twój

G.B.S.

Rob Gilson zginął w La Boiselle, prowadząc swój oddział do ataku pierwszego dnia bitwy - a więc 1 lipca.

Tolkien pisał do Smitha: „T.C.B.S. już się skończyło - jak może istnieć, gdy zabrakło jednego z nas?". A Smith odpisał: „T.C.B.S. nie przeminęło i nie przeminie nigdy".

Dni następowały po sobie według utartego schematu - czas odpoczynku, powrót do okopów, dalsze - przeważnie bezowocne - ataki, znów czas na odpoczynek. Tolkien był pomiędzy tymi, którzy atakowali redutę Schwaben, potężną niemiecką fortyfikację. W kontaktach z branymi do niewoli Tolkien mógł sprawdzić swoje umiejętności językowe. Zdarzały się dni, kiedy strzelanina cichła. Ronald zapamiętał chwilę, kiedy polna mysz odważyła się wyjść z ukrycia i przebiec po palcach Tolkiena zaciśniętych na słuchawce aparatu polowego.

Smith i Tolkien spotkali się w Acheux w sobotę 19 sierpnia i przez parę następnych dni mogli jeszcze rozmawiać ze sobą parokrotnie aż do ostatniego wspólnego posiłku w Bouzincourt. Potem Ronald musiał wracać do okopów.

Walki nie były już tak intensywne - niemniej jednak straty były nadal znaczne a z oddziału Tolkiena zginęło wielu żołnierzy. On sam jakoś unikał obrażeń - ale szanse na znalezienie się wśród poszkodowanych rosły z każdą chwilą.

Jego wybawieniem okazała się - jak to określają lekarze - „pyrexia nieznanego pochodzenia". Dla żołnierzy była to zwykła „gorączka okopowa". Przenosiły ją wszy, charakteryzowała się wysoką temperaturą i innymi „gorączkowymi" przypadłościami a zapadały na nią tysiące ludzi. Objawy tej choroby wystąpiły u Tolkiena w piątek, 27 października. Przeniesiono go do szpitala w

Beauval, potem do Le Toquet. Choroba nie ustępowała - 8 listopada załadowano więc Ronalda na statek i po paru dniach znalazł się w Birmingham.

Po trzech tygodniach pobytu w warunkach odmiennych od frontowych mógł opuścić szpital i pojechać do Great Haywood na święta Bożego Narodzenia. Tu otrzymał list od Christophera Wisemana, odbywającego służbę w marynarce:

H. M. S. „Superb.", 16 grudnia 1916 r.

Mój drogi J. R.

Dostałem właśnie z domu wieści o G.B.S., zmarł wskutek obrażeń odniesionych podczas wybuchu pocisku 3 grudnia. Nie mogę więcej na ten temat teraz napisać. Proszę tylko w pokorze Wszechmogącego, abym i ja okazał się godnym jego.

Chris.

Smith szedł drogą kiedy pocisk wybuchł w jego pobliżu i odłamki zraniły prawe ramię i udo. Próbowano operować ale wdała się już w to zgorzel gazowa. Pochowano go na brytyjskim cmentarzu w Warlencourt.

Jakiś czas przed śmiercią pisał w liście do Tolkiena:

Śmierć któregokolwiek z nas nie może - i jestem o tym przekonany - rozbić samego T.C.B.S. Może uczynić bezbronnym każdego z nas - ale nie wykończy nieśmiertelnej czwórki. To odkrycie przekażę jeszcze dziś Robowi a ty - napisz o tym do Christophera. Drogi Johnie Ronaldzie, niech cię Bóg błogosławi - może tobie będzie dane powiedzieć wszystko to, co sam usiłowałem powiedzieć a czego - jeśli taki mój los - być może już nie wypowiem.

Twój zawsze

G.B.S.

opracował Michał Błażejewski

Przeczytaliśmy dla Was:
TOLKIEN. A. biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Company, Boston 1977.

VI. Zagubione opowieści .....

"Moze tobie będzie dane powiedzieć wszystko to, co sam usiłowałem powiedzieć, a czego być może już nie wypowiem...". Słowa Smitha były skierowanym wprost do Tolkiena wezwaniem do rozpoczęcia wielkiej i nie posiadającej swego odpowiednika w historii literatury pracy... Pracy, o której onsam przemyśliwał już od jakiegoś czasu, pracy nad stworzeniem własnej, kompletnej mitologii...

Sama idea pojawiła się już podczas wczesnych prób kreowania nowych języków. Ronald odkrył wtedy, iż pełnię taki wykreowany język osiągnąć może dopiero wtedy, kiedy stanie się przekaźnikiem jakiej opowieści. Już w pierwszych wierszach o Earendelu Tolkien zaczął jakby szkicować świat tych opowieści - teraz chciał zająć się tym w pełniejszym wymiarze.

Była jeszcze jedna przyczyna tych prób - chciał poprzez wiersze wyrażać swoje najgłębsze uczucia. Pragnienia te były z pewnością inspirowane poczynaniami T.C.B.S - tamte próby można było jednak uznać za pozbawione większego znaczenia młodzieńcze i niedojrzałe jeszcze artykulacje idealizujące świat przyjaźniącej się czwórki. Mogły być co najwyżej pierwszymi krokami na drodze do wielkiej prozy poetyckiej, jakiej stworzeniu teraz za swój cel przyjął Tolkien.

I trzeci jeszcze motyw podjęcia tych prób - chęć wykreowania mitologii "dla Anglii". Kiedyś pisząc o "Kalevali" użył takich sformułowań: "Wiele z tego zagubiliśmy - myślę, że była tam i część należąca do Anglików..". Ta idea rozwijała się i wreszcie osiągnęła rozmiary domagające się urzeczywistnienia. A oto jak po wielu latach sam Tolkien opowiadał o tym: "Nie śmiejcie się! Kiedyś jednak /kiedy jeszcze mierzyło się siły na zamiary/ pomyślałem o stworzeniu pewnej całości mniej lub bardziej ze sobą powiązanych opowieści i to różnego jakby kalibru - od poważnych, prezentujących wątki kosmogoniczne, aż po lżejsze, będące romantyczno-baśniowymi historiami. Te poważniejsze miały wspierać się na tych drobniejszych, będących czymś na kształt cudownych obrazów z rozległego gobelinu. A to wszystko chciałem zadedykować najzwyczajniej Anglii, mojej krainie... Chciałem zawrzeć w nich ten rodzaj chłodu i przejrzystości, który charakterystyczny jest dla krain północnego zachodu,

dla Brytanii, dla pokrewnych jej stron Europy, odmiennych od Italii, obszarów Morza Śródziemnego a bardziej jeszcze od tego. co nazywamy Wschodem. Coś na kształt naszych wyobrażeń o dawnych opowieściach Celtów, coś, co powinno być taką "wysoką mową", oczyszczoną z wszelkiej przyziemności, przeznaczoną dla światłych i rozsmakowanych w obcowaniu z poezją umysłów. Chciałem część z tych opowieści opracować w najdrobniejszych szczegółach a część - pozostawić jedynie w najogólniejszych zarysie czy drobnych okruchach. Cykl miał się składać na wspaniałą całość, z której inne już ręce i umysły mogłyby czerpać materiał do swych obrazów, muzyki, sztuk teatralnych... Kompletna bzdura".

To mogło wydawać się bzdurą - po powrocie z Francji Tolkien jednak postanowił podjąć się jej realizacji. I czas i miejsce były temu pomocne - dużo przebywał z Edith w Great Haywood, pośród krajobrazów tak bliskich jego sercu Nawet przemywający na dalekich morskich szlakach Christopher Wiseman przeczuwał, że coś musi się wydarzyć Pisał do Tolkiena: "Powinieneś zacząć pisać" I Tolkien tak zrobił. Na okładce taniego notatnika wypisał grubym niebieskim ołówkiem tytuł, jaki wybrał dla swego cyklu - "Księga zagubionych opowieści" A wewnątrz zaczął zapisywać to, co ostatecznie poznaliśmy jako "Silmarillion".

Czym wytłumaczyć kształt późniejszej mitologii Tolkiena? Jakimi wpływami zewnętrznymi czy wewnętrzną inspiracją? Jest w niej - to prawda - jakiś wątek zaczerpnięty z Morrisowskiego "Raju ziemskiego" /cyklu epickich kunsztownych opowieści, opartych na motywach klasycznych i romantycznych, spisanych w latach 1868-1870/ - jakiś żeglarz-śmiałek przybywa do nieznanych brzegów i tu słyszy wiele cudownych historii. Tolkienowski podróżnik nosił imię Eriol /Samotny Marzyciel?/, pieśni, z którymi się zetknął miały jednak charakter i wymiar głębszy niż jakieś próby naśladowania opowieści znanych z lektur. Ronald później zresztą odrzucił pomysł z wędrowcem-słuchaczem i pozostawił czytelnika sam na sam z pięknem i dramatyzmem "pradawnych" opowieści.

Pierwsze z nich opowiadały o powstaniu świata, który Tolkien - wzorując się na nordyckim "Midgard" - nazwał Śródziemiem. Niektórzy czytelnicy uważali, iż chodzi tutaj o jakąś inną planetę,ale nie taki był zamiar Tolkiena. "Śródziemie to n a s z a ziemia" - pisał - "oczywiście, umieściłem całą historię w czasach i miejscach wykreowanych we własnej wyobraźni, ale chodzi tutaj

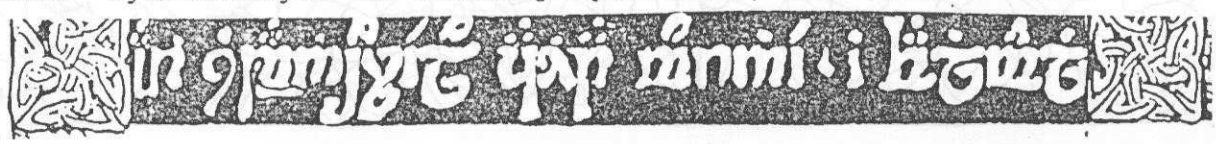

o n a s z świat".

Późniejsze historie cyklu zaczęły się układać wokół dziejów Silmarilów, stworzonych w Valinorze przez Feanora, później skradzionych przez Morgotha i będących przyczyną całej serii wydarzeń. Niektóre wątki miały chrześcijański rodowód, inne - pozostawały w wyraźnej sprzeczności z tą religią. Był to jednak tylko pozór niezgodności - "Silmarillion" nie występował przeciwko chrześcijańskiej wizji świata, przeciwnie - będąc dziełem głęboko wierzącego człowieka starał się dawać swymi tekstami uzupełnienie zaakceptowanych już opowieści chrześcijańskich. Wyraźnie zdecydowanie wyraźniej niż we "Władcy" /w dodatku polskie tłumaczenie "Władcy" nieco rozmywa - z wiadomych przyczyn - to zagadnienie/ - ukazywał Tolkien miejsce i rolę Jedynego Boga, stojącego ponad Valarami, istotami będącymi nie "mniejszymi bogami" a odpowiednikami chrześcijańskich aniołów.

Tolkien chciał nadać swym opowieściom wymiar cudowności - ale jednocześnie chciał, aby nie traktowano ich jak kłamstwo, zmyślenie. Poprzez mityczne i legendarne opowieści chciał dać wyraz swemu głęboko etycznemu spojrzeniu na świat - i będąc sobą nie umiał uczynić tego poprzez kreowanie świata pozbawionego Boga. Świat, który go otaczał, był światem wierzeń chrześcijańskich - nie było więc powodu "wymyślania" własnej wizji Boga. U Tolkiena Bóg jest więc stale obecny, ale jednocześnie - niewidoczny.

Tolkien uważał, iż kreując swą mitologię nie sprzeniewierza się postulatowi "pisania prawdy". Oczywiśnie - zdawał sobie sprawę, iż obecność "elfów", "krasnoludów" czy "orków" w otaczającym nas świecie jest wysoce problematyczna. Uważał jednak, iż opowiadane przez niego historie są prawdziwe w głębszym sensie. Nie pisał jednak alegorii - było to mu zupełnie obce. W przedmowie do "Władcy" możemy przeczytać, iż nienawidził wszelkich alegorycznych opowieści. W jakim więc sensie te stworzone przez niego opowiści miały być "prawdziwe"? Jakąś odpowiedzią mogą być sugestie zawarte w wykładzie- eseju o baśniach /"On Fairy-Stories"/ i w opowieści o liściu, namalowanym przez Niggle'a /"Leaf by Niggle"/, mówiące, iż człowiek otrzymał od Boga dar odkrywania przelotnym spojrzeniem zaowalowanej prawdy otaczającej go rzeczywistości. Pisząc opowieści późniejszego "Silmarillionu" Tolkien wierzył, iż zajmuje się czymś ważniejszym, niż wymyślanie jakichś

historii. "Pojawiły się w moim umyśle jako rzeczy "podarowane", przybyłe z zewnątrz - "były" więc, należało je tylko "odkryć" a nie "wymyślić" - tak można w skrócie uporządkować wyjaśnienia samego pisarza.

Pierwszą zapisaną opowieścią był "Upadek Gondolinu". Powstał on w początkach 1917 roku, podczas rekonwalescencji w Great Haywood. Tolkien przeznaczył mu później miejsce w końcowej partii książki. Styl opowieści nasuwa przypuszczenia, iż wzorem dla Tolkiena mogły być opowieści Morrisa, a obraz wielkiej bitwy mógł zawdzięczać wiele ze swej ekspresji własnym doświadczeniom pisarza znad Sommy. Dla nas jednak ważniejsze jest to, że pojawiają się tu nici wiodące ku pierwocinom mitologii /postać i imię Farendela/ a także - fakt, iż tutaj Tolkien kreuje wyraziste postacie elfów i korzysta z kreowanych przez siebie języków, aby bohaterom i miejscom nadawać nazwy. Od biedy można przyznać, że elfy Tolkiena "narodziły się" z jego wcześniejszych "elfich" opowiastek - ale akurat nie było tego znów tak wiele /pisane dla Edith "Stopki chochlików" i zanotowane gdzieś zachwyty nad "Pieśniami Siostry " Francisa Thompsona/. Elfy z "Silmarillionu" nie miały ponadto nic wspólnego z eterycznymi czy dziecięco-skrzydlatymi istotkami z tamtych tekstów. Były l u d ź m i. Dokładnie: ludźmi sprzed upadku, sprzed czasów grzechu pierworodnego. Potężnymi, mądrymi, obdarzonymi wiedzą, mocą i miłością Tolkien pisał iż stworzył je człowiek, na swój obraz i podobieństwo - lecz wolne od ograniczeń, jakie zostały na człowieka nałożone. Były przede wszystkim nie_śmiertelne.

Nazwy w "Silmarillionie" zaczerpnięte zostały z wymyślonych przez Tolkiena języków - w ten sposób krąg jakby został zamknięty. Języki odnalazły swój sens istnienia - były mową istot zamieszkujących odkryte przez Ronalda światy.

Już wiemy, iż Tolkien był twórcą wielu języków, niektóre z nich zostały doprowadzone nawet do wyjątkowej prcyzji. Z tych wszystkich eksperymentów Jeden tylko został uznany przez Tolkiena za satysfakcjonujący i w pełni oddający jego własne "językoznawcze" upodobania. Był to język powstały pod szczególnym wpływem fińskiego - Tolkien nazwył go "Quenya". W 1917 roku język ten był szczególnie bogaty, posiadał słownik złożony z kilkuset wyrazów. Tolkien poddał ten język lingwistycznej "obróbce" i wyprowadził z niego formy wcześniejsze - taki "pierwotny" Eldarin. Posługując się znowu metodami filologicznych rekonstrukcji "odtworzył" formy równole-

głego od Quenyi języka - Sindarinu. Był on wzorowany na walijskim - jak wiemy i fiński i walijski były Tolkienowi szczególnie bliskie i sympatyczne. Oczywiście - z tego wspólnego pnia zostały wyprowadzone także i inne języki elfów. Miały one jednak charakter szkicowy głównymi były Quenya i Sindarin, i z tych języków pochodzi większość nazw Śródziemia.

Poszukiwania te przypominały trochę układania pasjansów /pasjans należał do ulubionych rozrywek Profesora!/ z"odnalezionych" elementów. Tolkien nie pytał: Co mam zmienić, kiedy coś jest nie tak? Bardziej interesowała go odpowiedź na pytanie: Co to znaczy? Jaką treść ukrywa to dziwne słowo? Trzeba się koniecznie dowiedzieć ..

Okres choroby zbliżył młodych małżonków do siebie Edith przepisywała teksty Tolkiena, wieczorami zaś grywała na fortepianie a on recytował jej swoje wiersze lub też szkicował jej portrety. Edith spodziewała się dziecka - ale choroba Ronalda ustąpiła i znów miał powrócić do okopów. Ronald obawiał się tego - zostawić żonę i... dać się zabić nie ukończywszy tak szeroko zakrojonego dzieła? Co miał jednak począć?

Odpowiedzi udzielił.... kolejny nawrót choroby. I znów po okresie kilku tygodni nastąpiła poprawa i Edith wraz z kuzynką Jenny zabrały się do pakowania rzeczy Ronalda. I znowu powróciła choroba i Ronald wylądował wreszcie w sanatorium w Harrogate. Ronald nie był symulantem - objawy były prawdziwe. Edith napisała, iż każdy dzień choroby oddala grozę okopów - być może organizm Ronalda bronił się w ten sposób podświadomie? W kwietniu nastąpiła wreszcie poprawa i Ronalda wysłano - ale do szkoły na północnym wschodzie, gdzie miał zdobywać dodatkowe umiejętności w sygnalizacji. Po ewentualnym dobrze zdanym egzamienie miał szansę uniknięcia pójścia do bezpośredniej walki w okopach Egzamin wypadł niepomyślnie a po kilku dniach - powróciła i choroba W sierpniu znowu znalazł się w szpitalu

Wylądował w szpitalu w Hull. Było tu sympatyczne towarzystwo, miłe siostry-katoliczki Edith mieszkała w pobliżu, warunki jednak były niezbyt dobre, nie miała fortepianu, z jedzeniem było kiepsko, a zaawansowana ciąża niezbyt sprzyjała częstym przyjazdom do chorego męża. Postanowiła wyjechać i urodzić dziecko w Cheltenham - to miasto zawsze jej się podobało i spędzone tam kiedyś trzy lata wspominała z wielką sympatią. Wyjechały więc z Jane do Cheltenham.

Ronald miał w szpitalu całkiem przyzwoite warunki do pracy - zabrał się więc za pisanie opowieści, które w późniejszym czasie miała nosić tytuł "Dzieci Hurina". Pewne wątki tej historii przypominały trochę opowieści o Sigurdzie i Beowulfie a także niektóre partie "Kalevali" /historia o Kullervo/. Opowieść o Hurinie wydaje się być jednak bogatszą pod względem dramatyzmu czy subtelnej charakterystyki postaci.

16 listopada 1917 roku urodził się john Francis /to imię na część księdza Morgana/ Reuel, pierworodny Tolkienów. Poród był dosyć ciężki. Ronald mógł zobaczyć syna dopiero w tydzień po jego przyjściu na świat. Ojciec Francis przybył z Birmingham i sam ochrzcił małego Tolkiena. Edith z dzieckiem wyjechała potem do Roos, wioski położonej niedaleko nowego obowu, do którego przeniesiono Ronalda; awansowanego już teraz do stopnia "pełnego" porucznika.

Małżonkowie spotykali się od czasu do czasu. Niedalego Roos był niewielki las pełen dzikich kwiatów: Edith była szczęśliwa - tańczyła i śpiewała pośród zieleni, a zachwycony Ronald przeniósł potej jej obraz do jednej z piękniejszych opowieści Śródziemia - do historii Berena i Luthien Tinuviel, dziewczyny - elfa. Ta historia dorównywała chyba pod względem obrazowanych w niej uczuć opowieściom Wagnera Jest to jednocześnie pierwsza opowieść zawierająca w sobie motyw podróży, wędrówki. Dla Ronalda na zawsze pozostała ta opowieść najmilszą z najmilszych. Po wielu latach, tuż po śmierci Edith, tak pisał do syna Christophera tłumacząc mu, dlaczego chce aby na jej nagrobku wypisano również imię "Luthien" To ona była - i wiedziała o tym - moją Luthien. I nie chciałbym tu więcej wyjaśniać, ale może niebawem uda nam się o tym porozmawiać. Chociaż nigdy prawdopodobnie nie zabiorę się za pisanie autobiografii - byłoby to przeciwne mojej naturze, która lepiej wypowiada najskrytsze uczucia poprzez baśnie i mity - chciałbym jednak, aby ktoś bliski memu sercu poznał sprawy, których wprost nie można wyjawić: okropną boleść naszego dzieciństwa, przed którą chroniliśmy się wzajemnie, choć później okazywało się, iż nie zawsze było to skuteczne; cierpienia pierwszej miłości, które - mimo naszej ludzkiej słabości - pomagały zrozumieć i wybaczać błędy i cienie, jakich nie brakowało nam wtedy. Trzeba o tym wiedzieć, by móc zrozumieć, dlaczego nigdy nie przyćmiły nam one wspomnień naszej młodości. Zawsze więc nawet teraz, gdy zostałom

sam - będziemy spotykać się na leśnych polanach, by potem wędrować trzymając się za ręce w nieustannej ucieczce przed cieniami nadciągającej śmierci".

Wiosną 1918 roku skierowano Tolkiena do obozu w Penkridge. Tu należało oczekiwać na wyjazd do Francji. Wszyscy jego towarzysze z dawnego batalionu już nie żyli lub też przebywali w obozach jenieckich.

Edith wraz z synkiem i kuzynką wyruszyła za Ronaldem. Miała już dosyć takiego wędrownego życia, miała dosyć wojny, dosyć niepewności. Po porodzie nadal czuła się nie najlepiej. Ledwie tylko dotarła do Penkridge - Ronalda przeniesiono znowu do Hull. Edith zrezygnowała z podróży za mężem - napisała do niego gorzki list, w którym opisała wszystkie swoje smutki i niepokoje Tymczasem Ronald znowu znalazł się w szpitalu - wojenna choroba dała jeszcze raz znać o sobie. Czas leczenia Ronald wykorzystywał na pracę nad mitologią Śródziemia i próbami uporządkowania języka elfów. Uczył się także rosyjskiego o doskonalił swój włoski i hiszpański.

W październiku wyszedł ze szpitala. Pokój zdawał się być już blisko - wybrał się więc do oxfordu, by rozejrzeć się, jakie są tam możliwości zdobycia pracy na uczelni. Wieści były nieciekawe - uczelnia funkcjonowała kiepsko i nikt nic nie wiedział o jakiejś posadzie dla młodego człowieka. W końcu od Williama Craigie /swego nauczyciela języka islandzkiego/ dowiedział się, że mógłby zaczepić się przy redagowaniu New English Dictionary. Tuż po 11 listopada, zaraz po zakończeniu wojny, Ronald uzyskał zgodę swoich wojskowych przełożonych na przeniesienie się do Oxfordu w celu "kontynuowaniu edukacji" przed ostateczną demobilizacją. Znalazł mieszkanie blisko swojej dawnej kwatery przy St. John's Street i pod koniec listopada 1918 roku, wraz z żoną, dzieckiem i kuzynką Jane osiedlił się w Oxfordzie.

c.d.n.

Przeczytaliśmy dla Was:
TOLKIEN. A. biography. By Humprey Carpenter. Houghton Mifflin Company, Boston 1977.

VII. Oxford - Leeds - Oxford.

Tolkien od dawna marzył o powrocie do Oxfordu. Całą wojnę tęsknił za swoim kolegium i przyjaciółmi, za życiem jakie prowadził przez cztery lata w tym mieście. Miał dwadzieścia siedem lat /Edith - już trzydzieści/ i dotkliwie odczuwał każdy zmarnowany dzień. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie spełni się jego najgorętsze pragnienie - być razem z najbliższymi we własnym domu.

W przeczuciu, iż rozpoczyna się w jego życiu nowy i ważny okres, Tolkien rozpoczął /w pierwszy dzień nowego 1999 roku/ prowadzenie dziennika, w którym zamierzał notować wszystkie ważne wydarzenia a także swoje refleksje na ich temat /jak pamiętamy, już wcześniej zdarzało mu się odwoływać do takiej formy zapisywania własnych przeżyć/. Rozpoczął więc dziennik posługując się najpierw "normalnym" alfabetem, a potem wymyślił inną formę zapisu - było to coś pośredniego pomiędzy alfabetem hebrajskim, greckim i znaczkami stenograficznymi Pitmana. Wreszcie postanowił, że nada temu alfabetowi ściślejszy związek z własną mitologią - nazwał go Alfabetem Rumila, elfa i mędrca z Tirionu, któremu przypisywano wynalazek alfabetu a także - autorstwo "Ainulindale". Tak więc dziennik rozpoczęty alfabetem łacińskim w języku angielskim kontynuowany był potem już nowym alfabetem, ale nadal po angielsku. Był tylko jeden kłopot - autor miał wyjątkowy talent do swobodnego łączenia nowych liter z głoskami. Znaczek, który jednego dnia łączył się z głoską "r" innego dnia służył do oznaczenia głoski "l". Autor sądził, iż jego własna pamięć pozwoli spokojnie omijać meandry tej dowolności - po jakimś czasie okazało się jednak, iż on sam... nie potrafi odczytać swoich wcześniejszych notatek. Postanowienia, aby zaprzestać dowolnego łączenia znaków i znaczeń i pozostawić alfabet w spokoju, nie zdały się na nic - niespokojny perfekcjonizm autora zmuszał go do nieustannych prób poszukowania najodpowiedniejszej graficznej formy.

Cierpliwość pozwoliła jednak na odczytanie stron dziennika.

Ukazują one dość wiernie obraz życia Tolkiena w tym nowym okresie. I tak możemy śledzić dzień za dniem, godzina za godziną wszystkie ważniejsze i mniej ważne wydarzenia. Zaraz po śniadaniu Ronald wyruszał z domu przy St John's Street nr 50 w kierunku Broad Street gdzie mieściły się pracownie Słownika. Tu pośród szacownego kurzu niewielka grupa ekspertów tworzyła najbardziej kompetentny ze wszystkich możliwych Słownik Języka Angielskiego. Prace rozpoczęto jeszcze w 1878 roku i do roku 1900 opublikowano tomy zawierające hasła na litery od A do H. Po kolejnych tomach hasła rozpoczynające się na litery od U do Z były nadal niekompletne. Sir James Murray, który rozpoczynał ongiś to zbożne dzieło, zmarł był w roku 1915 i na jego miejsce przyszedł Henry Bradley, wybitny specjalista. Swą językoznawczą karierę rozpoczynał on od samodzielnej nauki liter z trzymanej przez ojca podczas rodzinnych modłów Biblii. Potem jego droga była naznaczona piętnej wytrwałości i doprowadziła go wreszcie do kariery uniwersyteckiego leksykografa.

Tolkien polubił nową pracę i nowych kolegów. Przez pierwsze tygodnie zajmował się rozpracowywaniem etymologii takich haseł jam WARM, WASP, WICK /LAMP/ i WINTER. Nie były to znów tak trudne słowa - należało tylko pobawić się w komparatystę i pozestawiać ze sobą odpowiednie formy z kilkunastu różnych, niekiedy już wymarłych języków /nasi rodzimi językoznawcy mogą sobie w tym miejscu dopasować terminologię z książki Carpentera do odpowiedniego nazewnictwa polskiego - przy haśle WASP Tolkien wymienił formy z następujących języków: Old Saxon, Middle Dutch, Modern Dutch, Old High German, Middle Low German, Middle High German, Modern German, Old Teutonic, promitive pre-Teutonic, Lithuanian, Old Slavonic, Russian, Latin. Wystarczy?/ Tolkien był zachwycony taką pracą - uważał, że przez dwa lata kontaktów z ze społem Słownika nauczył się więcej, niż w jakimkolwiek innym okresie swojego życia. Pracował także niesłychanie precyzyjnie - nawet jak na wysokie wymagania zespołu. Jego przełożony, dr Bradley, wyznał później, iż nigdy nie spotkał człowieka, który w tak młodym wieku wykazywałby taką kompetencję językoznawczą /zwłaszcza w zakresie języków anglosaskich i germańskich/.

Podczas prac nad Słownikiem można było sobie pozwolić na niewielką przerwę na lunch i na popołudniową herbatę. Dr Bradley

na szczęście nie należał do nadmiernie wymagających przełożonych i praca nad Słownikiem nie zajmowała Zolkienowi całego dnia. Do obowiązków Tolkiena należało /a to wypełniało i jego etat, i jego... pensję/ prowadzenie zajęć ze studentami. Ronald prowadził te zajęcia z dużymi sukcesami i wkrótce poszczególne kolegia /zwłaszcza żeńskie/ proponowały mu ćwiczenia. Mógł teraz w pełni docenić fakt bycia człowiekiem żonatym - kawalerowie nie mieli bowiem wstępu do kobiecych kolegiów.

Tolkienowie wkrótce zauważyli, że stać ich na to, by wynająć jakiś niewielki dom /do tej pory wynajmowali tylko kilka pokoi/. Znaleźli całkiem odpowiedni i to dość blisko od dotychczasowego mieszkania - pod numerem pierwszym Alfred Street /teraz to Pusey Street, gdyby ktoś z was wybrał się do Oxfordu i zamierzał poruszać się po nim "szlakiem Tolkiena"/. Przenieśli się tam pod koniec lata 1919 roku i zaangażowali gosposię. Trudno opisać radość, jaką dawało im posiadanie własnego domu. Fortepian Edith został odebrany z przechowalni i po raz pierwszy od lat mogła przystąpić do regularnych ćwiczeń. On a sama znów była w ciąży, teraz jednak dziecko miało urodzić się we własnym domu i w odpowiednich warunkach. Na wiosnę 1920 roku dochody Ronalda z pracy dydaktycznej były na tyle duże, iż mógł zrezygnować z uczestnictwa w opracowywaniu Słownika.

Jednocześnie Ronald nie zaniedbywał prac na "Księgą Zagubionych Opowieści" i pewnego wieczoru zaprezentował w Essay Club Collegium Exeter "Upadek Gondolinu". Tekst został bardzo dobrze przyjęty przez grono studentów, wśród których byli Nevill Coghill i Hugo Dyson, pojawiający się później i to w sposób znaczący wśród grona przyjaciół i fanów Tolkiena.

Plany rodzinne pewnego dnia musiały jednak ulec zmianie. Tolkien zgłosił swoją kandydaturę na wykładowcę języka angielskiego Uniwersytetu w Leeds. Niezbyt ufał w swoje szczęście - ale latem 1920 roku zaproszono go na wstępną rozmowę. Na stacji w Leeds czekał na niego George Gordon, profesor angielskiego tegoż uniwersytetu. Gordon przed wojną był liczącym się uczestnikiem English School w Oxfordzie, ale Ronald nie znał go i rozmowa początkowo niezbyt się kleiła. W tramwaju jadącym na uczelnię wspomniał ktoś Sir Waltera Raleigha, profesora literatury angielskiej w Oxfordzie. Tolkien mało go cenił - ale tę uwagę zachował dla siebie i głośno tylko zauważył, iż Raleigh był prawdziwym "olimpijczykiem".

I zanim opuścił Leeds - już wiedział, że posadę otrzymał.

Leeds miało wszelkie wątpliwe uroki miasta przemysłowego. Dym, brudny smog, kurz wciskały się wszędzie. Różnowiktoriańskie, wybudowane z pstrokatej cegły budynki uniwersytetu swym kiepskim, pseudogotockim stylem zdecydowanie kontrastowały z tym, co Tolkien był w stanie zaakceptować. Ronald zaczął serio myśleć o rezygnacji z nowej posady.

Było bardzo trudno - Zaraz na początku jesiennego semestru urodził się drugi syn - Michael Hilary Reuel. Ronald w ciągu tygodnia prowadził zajęcia w Leeds i dopiero w weekendy mógł się spotkać z rodziną. Dopiero w pierwszych tygodniach 1921 roku, Edith z synami mogła przyjechać do Leeds - Ronald zdołał dla nich znaleźć jedynie tymczasowe zakwaterowanie w wynajętych pokojach. Pod koniec 1921 roku przeprowadzili się do niewielkiego ciemnego domku przy St mark's Terrace 11. bocznej uliczce niedaleko uczelni.

Wydział Filologii Angielskiej Uniwersytetu w Leeds był nadal niewielki, ale George Gordon stale go rozbudowywał. Gordon był bardziej typem organizatora niż naukowca - Tolkien jednak dostrzegł w nim wiele cech prawdziwego mistrza. Gordon okazywał wiele życzliwości nowemu asystentowi - wygospodarował dla niego miejsce w swoim gabinecie i interesował się jego kłopotami mieszkaniowymi. Mało tego - okazał mu prawdziwe zaufanie przekazując w jego ręce odpowiedzialność za językoznawcze przedmioty nauczania.

Gordon zdecydował, iż dobrze będzie przejąć oxfordzki program studiów i podzielić przedmioty na dwie grupy. Jedną dla tych, którzy chcieliby specjalizować się w literaturze od czasów Chaucera /a więc "nowożytną"/ i drugą dla tych, którzy interesowaliby się okresami wcześniejszymi - związanymi głównie z językoznawczą wiedzą o języku anglosaskim i średniowiecznej angielszczyźnie /język średnioangielski - a więc okres od 1150 do 1500/ r./ Ronald miał zająć się właśnie tą częścią programu i Gordon liczył, że Tolkien nada tym przedmiotom uniwersytecki szlif a jednocześnie uczyni je atrakcyjnymi dla słuchaczy. Tolkien szybko przekonał się do nowych studentów - wielu z nich umiało ciężko pracować i na rezultaty nie trzeba było długo czekać.

Początkowo Ronald jednak rozglądał się za jakimś atrakcyjniejszym miejscem - zaproponował swoją kandydaturę uczelniom w Liverpool i Cape Town. Liverpool odpowiedział odmownie, z Cape Town

przyszła jednak w styczniu 1921 roku odpowiedź pozytywna. Powrót do miejsca urodzin był dla niego bardzo pociągający. Odrzucił jednak tę ofertę - trochę z obawy o to, jak Edith i synowie zniosą taką podróż, a trochę ... z braku odwagi.

Na początku 1922 roku pojawił się na uczelni nowy wykładowca. Eric Valentine Gordon /mimo zbieżności nazwisk nie był on krewnym Georgea Gordona/ był niewysokim, ciemnowłosym Kanadyjczykiem. Był on uprzednio stypendystą w Oxfordzie i Tolkien zetknął się już z nim jako opiekun w 1920 roku. Teraz Ronald mógł go powitać w Leeds - w dzienniku szybko młody Gordon został określony mianem zaufanego przyjaciela i kumpla.

Wkrótce po przyjeździe Gordona "młodszego" obaj młodzi wykładowcy podjęli ścisłą naukową współpracę. Tolkien zakończył właśnie edytorsko-leksykalne prace nad przygotowanym przez Kennetha Sisama wyborem tekstów w języku średnioangielskim. Chciał teraz przygotować coś, co mogłoby dać pełniejszy obraz jego własnych zainteresowań - razem z E.V. Gordonem postanowili przygotować do druku naukową edycję "Sir Gavena i Zielonego Rycerza". Tolkien miał zająć się samym tekstem i słownikiem, Gordon - sprawą przypisów i objaśnień.

Tolkien zauważył, że jego współpracownik to prawdziwy "mały szatański pracuś" i sam ostro musiał wziąć się do roboty, żeby mu dorównać. Ukończyli swoją książkę w zaplanowanym terminie i wydawnictwo Clarendon Press mogło ją opublikować na początku 1925 roku. Edycja miała olbrzymie znaczenie dla badań na literaturą tamtego okresu - sam jednak Tolkien chętnie szokował później swoich studentów zabawnie wykpiwając niektóre zawarte tam pomysły interpretacyjne.

E.V. Gordon miał podobne poczucie humoru. Wspólnie założyli Viking Club, sprowadzając zgrupowanych tam studentów "na manowce" członkowie klubu wypijali zadziwiające ilości piwa, czytywali /w oryginale!/ sagi i śpiewali przeróżne śmieszne piosenki. Większość tych zwariowanych tekstów pisali sami wykładowcy, oni też układali złośliwe wierszyki o poszczególnych studentach, przekładali popularne rymy dziecięce na anglosaski a piosenki biesiadne - na staronordycki. Niektóre z tych tekstów po latach ukazały się drukiem w zbiorku "Piosenek dla Filologów". Nic więc dziwnego, że Viking Club uczynił obu młodych naukowców niezmiernie popularnymi wśród studentów a jednocześnie - przysporzył nowych słuchaczy ich uniwersyteckim wykładom. W 1925 roku w Leeds było około dwu-

dziestu w ten sposób zainspirowanych językoznawców. Stanosiło to więcej niż jedną trzecią wszystkich studiujących tu filologów i było to - licząc procentowo - grono znacznie większe od analogicznego w Oxfordzie.

Rodzinne życie Tolkiena układało się przeważnie szczęśliwie. Edith zaakceptowała atmosferę nieformalnego luzu, panującą w akademickim środowisku Leeds i zaprzyjaźniła się w wieloma żonami kolegów męża. Pieniędzy może nie było dużo, ale Ronald starał się poczynić oszczędności na kupno własnego domu. Nie wyjeżdżali więc na jakieś wielkie wakacje, ala latem 1922 wypuścili się na kulkutygodniowy pobyt do Filey na wybrzeżu. Tolkienowi okolica nie podobała się - nazwał ją "paskudnym, małym podmiejskim kąpieliskiem" - i większą część pobytu spędzał wykonując drobne prace dla uczelni. Dawało to trochę pieniędzy. Napisał również kilka utworów poetyckich.

W ostatnich kilku latach jego dorobek poetycki znacznie się powiększył. Większość utworów miała związek z tworzonym światem mitów. Niektóre teksty zostały także opublikowane - w wydawanym przez uczelnię magazynie "The Gryphon", w lokalnej serii publikacji "Yorkshire Poetry" a także w antologii utworów autorów związanych z Wydziałem Anglistyki i zatytułowanej "Northern Venture". Teraz zabierał się za pisanie cyklu utworów, które nazwał "Pieśni i opowiści Bimble Bay". Jeden z teksów wyraźnie odzwierciedkał jego stosunek do niesympatycznego Filey. Inny - "Wizyta Smoka" - opisywał pokonanie smoka, który pojawił się w Bimble Bay i napotkał tam niejaką Miss Biggins... Trzeci - "Glip" - opowiadał o stworzeniu, które żyło sobie pod ziemią w pieczarze i miało dziwne, świecące bladym blaskim oczy. Wszystko to było jedynie zapowiedzią spraw i osób, które miały dopiero się pojawić.

W maju 1923 roku Ronald przeziębił się i nabawił zapalenia płuc. Jego dziewięćdziesięcioletni dziadek, John Suffield, przebywał wtedy u Tolkienów. Ronald zapamiętał jego postać przy swoim łóżku i jego uwagi na temat degeneracji młodego pokolenia. John Suffield przeżył jeszcze siedem lat, głównie u swej najmłodszej córki, pamiętnej Ciotki Jane. Po upuszczeniu Nottinghamshire przebywała ona na farmie w Dormston, w Worcestershire. Farma znajdowała się na końcu lokalnej drogi i miejscowi ludzie nazywali niekiedy to miejsce... Bag End.

W ramach rekonwalescencji po przebytej chorobie Ronald wraz z rodziną pojechał do swego brata Hilarego, który miał nieduży sad niedaleko Evesham, rodzinnego miasta klanu Suffieldów. Rodzina została zagoniona do pomocy na roli - ale był też czas na wspaniałe zabawy z latawcami, które .. obaj bracia ku uciesze dzieci puszczali ze wzgórz znajdujących się naprzeciwko domu. Tolkien znalazł też czas, żeby trochę popracować i zająć się swoją mitologią.

"Księga Zagubionych Opowieści" była już prawie ukończona. W Oxfordzie i Leeds Tolkien napisał teksty o stworzeniu świata, o powstaniu i kradzieży Silmarilów. Cykl ciągle nie miał wyraźnego zakończenia - pamiętajmy, że Tolkien ująć chciał całość w ramę podróży gwiezdnego statku Earendela - niektóre z opowieści pozostawały jeszcze w formie szkicu. Tolkien postanowił przeredagować dotychczasowy materiał - była to jego stała metoda. Po prostu - nie chciał rozstawać się z wykreowanym przez siebie światem. Jednocześnie obawiał się, że mogą być kłopoty ze znalezieniem wydawcy - praca bowiem odbiegała w wyraźny sposób od tego, co można było znaleźć w utworach innych autorów. Ostatecznie - nie była ona jednak bardziej dziwna od książek Lorda Dunsany, który był przecież bardzo poczytnym pisarzem. Co więc tak naprawdę powstrzymywało Tolkiena przed ostatecznym ukończeniem tekstu? Prawdopodobnie to, na co w swoim czasie zwrócił mu uwagę Christopher Wisemann - nie mógł się pogodzić z myślą, iż świat, który stworzył, zostanie od niego w sposób definitywny "oddzielony", że umieszczone na ostatniej stronie słowo "koniec" pozbawi go możliwości dalszego kreowania - czy jak on sam to kiedyś nazwie - "współtworzenia", "subkreowania" świata.

Tak więc nie zamierzał kończyć "Silmarillionu" /taką nazwę w międzyczasie otrzymał zbiór opowieści/, a zabrał się za poprawianie i szlifowanie już istniejących tekstów. Przerobił również dwie z głównych opowieści na formę wierszowaną. Opowieści o Turinie nadał kształt inspirowany "Beowulfem". Historię Berena i Luthien opracował w bardziej współczesnej rymowanej formie. Nazwał ten tekst "The Gest of Beren i Luthien" /od określenia "gesta" - "czyny", "wydarzenia"/, później - "Thy Lay of Leithian" /"Śpiew" lub "Pieśń - pieśni Leithian" - od "Lai", nazwy formy poezji bretońskiej, spokrewnionej z liryką celtycką/.

Jego uniwersytecka kariera w Leeds nabrała w międzyczasie znaczącego przyśpieszenia. Georg Gordon przeniósł się do Oxfordu i Tolkien był poważnym kandydatem do zajęcia jego stanowiska. Ostatecznie otrzymał je Lascelles Abercrombie, ale Michael Sadler, vice-kanclerz, obiecał Tolkienowi, że uczelnia będzie mogła wkrótce utworzyć dla niego stanowisko profesora języka angielskiego. Sadler dotrzymał słowa - w 1924 roku, w wieku 31 lat Tolkien został profesorem /wyjątkowo "młodym" jak na brytyjskie - nie tylko - warunki/. W tym samym roku Tolkienowie nabyli dom na przedmieściu Leeds, w West Park, przy Darnley Road 2. Była to duża poprawa w stosunku do warunków mieszkaniowych na St Mark's Terrace. Wokół domu było wiele otwartej przestrzeni, gdzie można było spędzać czas na przechadzkach z dziećmi.

Z początkiem 1924 roku Edith znowu odkryła, że jest w ciąży. Spodziewała się, że tym razem będzie to córka - ale to był znów chłopiec. Nadano mu na chrzcie imiona Christopher Reuel /Christopher na cześć Christophera Wisemana/. Ten syn stał się szczególną radością Ronalda.

W początkach 1925 roku nadeszła wiadomość, że zwolni się niebawem etat profesorski w Oxfordzie. Zajmujący to stanowisko William Craigie przenosił się do Stanów. Zaproponowano objęcie tego stanowiska Tolkienowi. Było jeszcze trzech innych wspaniałych kandydatów - dwóch z nich zrezygnowało co prawda, ale i tak Tolkien miał się zmierzyć w tej rywalizacji ze swoim byłym profesorem, Kennethem Sisamem. Sisam miał bardzo dobrą pozycję w Clarendon Press, dobrą reputację w Oxfordzie i wielu sympatyków. Za Tolkienem stało jednak też paru przyjaciół, wśród nich - mistrz zakulisowych intryg ... George Gordon. Obrady elektorów zakończyły się jednak remisem. Obaj kandydaci otrzymali tyle samo głosów. Vicekanclerz Joseph Wells musiał więc skorzystać z przysługującego mu prawa i oddać decydujący głos. Był za Tolkienem.

Tolkienowie powrócili więc do Oxfordu.

Opracował Michał Błażejewski

Przeczytaliśmy dla Was:
TOLKIEN. A biography. By Humphrey Carpenter. Houghton Mifflin Co., Boston 1977.

VIII. Gwiazdkowy prezent od Piekielnego Piotrusia.

Wyobraźcie sobie wieczór wigilijny... Wśród prezentów - wyczekiwana książka. Zabieracie się do czytania i nagle w połowie opowieści poja - wiają się słowa - "I od tej chwili żyli sobie długo i szczęśliwie...." Zaraz, zaraz! Przecież to koszmarny sen! Jak można zdradzać zakończe - nie opowieści już na 111 stronie! A właśnie - można. Zrobił to Humphrey Carpenter... Co się robi z takim autorem, który serwuje nam taki pre - zent? Taki prawdziwie "piekielny" prezent? A co zrobić ze "streszcza - jącym", który w tym miejscu mógłby Was odesłać do swojej własnej książ- ki o Tolkienie /mam nadzieję, że trafi do księgarń w tym samym czasie co grudniowe "Gwaihirzę"/... Los obu z pewnością byłby straszny!

Przygotujmy więc sobie kolejną szklankę mocnej herbaty i jeszcze raz poczytajmy sobie Carpentera /dwa razy w jednym zdaniu "sobie" - zapamiętajcie so..., że tak się nie powinno robić!/....

Tolkienowie powrócili więc do Oxfordu.

I potem - moglibyśmy sobie po prostu powiedzieć - nic już się szcze- gólnego nie wydarzyło. Po powrocie do Oxfordu przez dwadzieścia lat To kien był profesorem anglosaksońskiego w kolegiach Rawlisona i Bosworth potem kolegium Merton ofiarowało mu stanowisko profesora języka i lite ratury angielskiej /prawdopodobnie coś tu należy napisać z dużej liter potem przeszedł na emeryturę i część jej spędził prowadząc nieciekawy i przeciętny żywot mieszkańca oxfordzkich przedmieść, potem mieszkał jakiś czas w równie nieciekawym nadmorskim kurorcie, potem po śmierci swojej żony powrócił do Oxfordu i tu wreszcie sam zmarł mając osiem - dziesiąt jeden lat. To było przeciętne życie przeciętnego nauczyciela akademickiego - jeżeli były w nim jakieś bulwersujące wydarzenia to mieściły się one całkowicie w schemacie "nobliwego żywota poważnego profesora zasłużonej brytyjskiej uczelni"... No, może nie tak "całkowi- cie"... Podczas tego "nudnego" życia Tolkien napisał dwie książki, które uczyniły z niego kogoś bliskiego milionom czytelników. A może nie było nic dziwnego w tym, że "Hobbita" i "Władcę Pierścieni" napi- sał właśnie taki przeciętny i typowy specjalista od jednego ze średnio wiecznych dialektów jednego ze środkowych regionów Anglii, ktoś żyjący życiem przeciętnego mieszczucha wychowującego swoje dzieci i zajmują - cego się swoim ogródkiem?

Przełom wieku dziewiętnastego i dwudziestego przyniósł uczelni w Oxfordzie wiele istotnych zmian. Przestała być ona swoistym "klasztorem" - nauczyciele stali się grupą ludzi świeckich, zwolnionych między innymi z obowiązku... celibatu. W czasach Tolkiena w Oxfordzie obok studentów i profesorów pojawiły się więc rodziny akademików - ich żony, dzieci, liczna służba. Miasto się rozrastało, pojawiały się sklepy, nowe dzielnice profesorskich domów... Tolkienowie po powrocie z Leeds zamieszkali przy Northmoor Road i to był ich stały adres przez dwadzieścia jeden lat. No, może niezupełnie. Pod koniec 1929 roku sąsiedni i dużo większy budynek został wystawiony na sprzedaż i Tolkienowie podjęli decyzję o kupnie tego domu. Z początkiem 1930 roku przenieśli się więc z domu oznaczonego numerem dwudziestym drugim do domu oznaczonego numerem dwudziestym. Tuż przed przeprowadzką urodziło się czwarte i ostatnie dziecko Tolkienów - długo oczekiwana przez Edith córka która na chrzcie otrzymała imiona Priscilla Mary Reuel /tradycyjnie już/. I to były jedyne dwa wielkie wydarzenia w życiu mieszkańców domów przy Northmoor Road - narodziny Priscilli w 1929 i zamiana mieszkań w 1930. Poza tym życie toczyło się tak utartymi koleinami, iż bez większego trudu możemy zrekonstruować z dokładnością prawie do jednej minuty co Tolkien robił każdego dnia...

Takie zwyczajne dni rozpoczynały się wcześnie. O siódmej dzwonił budzik w sypialni Ronalda, położonej z tyłu domu z oknami wychodzącymi na wschód i na ogród. Prawdę powiedziawszy, to to nie jest taka "prawdziwa sypialnia". Jest to stara łazienka i przebieralnia /jest tu nadal wanna w jednym rogu/, Ronald jednak śpi tutaj, ponieważ jego chrapanie jest dla Edith trudne do zniesienia. No i nie jest ona przyzwyczajona do "nocnego" trybu życia męża. Każde z nich ma więc swoją odrębną sypialnię i jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ronald wstaje niezbyt spiesznie /nie ma natury "rannego ptaszka"/, postanawia ogolić się dopiero po mszy i w szlafroku maszeruje do pokojów chłopców, żeby obudzić Michaela i Christophera. Najstarszy z synów, John ma czternaście lat i przebywa w katolickiej szkole z internatem w Berkshire. Młodsi chłopcy /mają właśnie jedenaście i siedem lat/ mieszkają nadal z rodzicami.

Idąc do pokoju Michaela Ronald zawsze potyka się o leżący pośrodku korytarza model parowozu /i zawsze po cichu przeklina/. Chłopcy mają prawdziwego fioła na punkcie modeli kolejek i chcą przekształcić całe piętro w jedną olbrzymią plątaninę torów. Uwielbiają oglądać maszyny na stacji i z niezmierną dokładnością rysują je potem. Tolkien nie podziela ich "kolejomanii" - pociągi to dla niego hałas i brud szpecący krajobraz. Toleruje jednak pasję chłopców i niekiedy zabiera ich ze

sobą, aby gdzieś na jakimś przejeździe mogli sobie pooglądać przejeżdżające pociągi.

Po obudzeniu chłopców idzie się przebrać w swój codzienny strój - flanelowe spodnie i tweedową marynarkę. Potem razem z synami, ubranymi w granatowe marynarki Dragon School i krótkie spodenki, jadą rowerami przez Northmoor, Linton i Banbury Road. Czasem mija ich autobus lub jakiś przypadkowy samochód. Zza przydrożnych płotów wiosną wychylają się kwitnące gałęzie wiśni - widok więc jest wspaniały.

Pedałują tak niecałą milę do miasta, do kościoła pod wezwaniem św. Alojzego. Ten niezbyt atrakcyjny budynek mieści się obok szpitala przy Woodstock Road /to na wypadek, gdybyście chcieli połazić "śladami Tolkiena" po Oxfordzie/. Msza jest o siódmej trzydzieści - zawsze więc spóźniają się na śniadanie. Śniadanie w domu Tolkienów jest o ósmej - dokładnie o siódmej pięćdziesiąt pięć, bo Edith zawsze nastawia zegary w domu tak, aby pokazywały właściwy czas...pięć minut wcześniej. Phoebe Coles, dochodząca pomoc domowa, jest u Tolkienów już od paru lat - to prawdziwe błogosławieństwo dla nich. Przedtem z kolejnymi pomocami było sporo kłopotów.

Podczas śniadania Tolkien przegląda pobieżnie gazety. Podobnie jak C. S. Lewis uważa, iż istotne wiadomości znaleźć można tylko w książka a gazety zajmują się sprawami, które należy po prostu ignorować. Obaj panowie uwielbiają jednak zamieszczane przez prasę krzyżówki...

Po śniadaniu Tolkien idzie do swojego gabinetu i zaczyna palić w piecu. Dom - jak większość budynków zamieszkiwanych przez klasę średnią w tym okresie - nie ma centralnego ogrzewania. Trzeba więc dobrze się namęczyć, żeby ogrzać poszczególne pokoje. Tolkien się śpieszy - pierwszy student przyjdzie na zajęcia o dziewiątej rano /taki tam obyczaj, moi drodzy/. Wygarnia jeszcze gorący popiół /pracował do drugiej w nocy/, potem upycha węgiel, czeka, aż się dobrze wszystko rozpali i biegnie na górę, żeby się ogolić. W tym czasie chłopcy wychodzą do szkoły.

Ktoś dzwoni - to listonosz, który przyszedł z informacją, iż z komina nad pracownią walą kłęby dymu. Trzeba pobiec do gabinetu, podregulować piec, podziękować listonoszowi, pogadać z nim na temat uprawy warzyw, przejrzeć przyniesione listy i... i nie zapomnieć, że pół twarzy jest jeszcze namydlone i trzeba się doprowadzić do porządku, zanim przyjdzie student.

Dziesięć po dziewiątej zaczynają się zajęcia - Ronald wraz z młodą studentką przez półtorej godziny zajmują się fragmentem tekstu. Po tym czasie dziewczyna odjeżdża na rowerze przeświadczona, iż gdyby wszystkie zajęcia na uczelni były prowadzone w ten sposób, to studiowanie byłoby całkiem przyjemne.